

MIESIĘCZNIK LITERACKI

STUDIO

ZOFJA NAŁKOWSKA:

O PISANIU

BRUNO SCHULZ:

O SOBIE

ZOFJA GOŹDZIEJEWSKA:

CEGIELNIA, PROZA I MÓJ DOM U WIERZBY

WITOLD GOMBROWICZ:

SKAZIĆ UROK NOWOCZESNEJ PENSJONARKI

ZOFJA ZAHRTOWA:

PANOPTICUM

MICHAŁ CHOROMAŃSKI:

DWIE PACJENTKI

AUGUST GAILITH:

KADRI PARVI

J. B. — *Książki*: Ewy Szelburg Zarembiny „Ludzie z wosku“, Herminji Naglerowej „Krauzowie i inni“, Debory Vogel „Akacje kwitną“.

A. A. — *Teatr*: Cyprjana Norwida „Pierścień wielkiej damy“, Jacques Devala „Rodzina Massoubre“, Adama Grzymały - Siedleckiego „Spadkobierca“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

Numer niniejszy zwiększony jest w stosunku do poprzedniego dwukrotnie przy niezmienionej cenie 80 groszy. Utrzymując tę cenę numeru pojedynczego bez zmiany, niżamy cenę prenumeraty

z 2 zł. 40 gr. na 2 zł. kwartalnie,

z 4 zł. 80 gr. na 3 zł. 50 gr. półrocznie,

z 9 zł. 60 gr. na 6 zł. rocznie.

Wszyscy Prenumeratorzy, którzy wpłacili prenumeratę całoroczną zechcą wyrazić zgodę na pozostawienie nadwyżki na rok następny. W braku odpowiedzi do dwóch tygodni, nadwyżka zostanie odesłana pocztą.

Aby otrzymać numer okazowy Studia wystarczy przesłać do Administracji kartkę pocztową z adresem. Prenumeratę zgłaszać można telefonicznie pod Nr. 11.12.36, wpłacać załączonym przekazem rozrachunkowym Nr. 779 lub zwykłym przekazem pocztowym.

Ponieważ Studio opiera byt swój wyłącznie na rozprzedaży i prenumeracie, redakcja uprzejmie prosi wszystkich, którzy otrzymali numery okazowe, o zawiadomienie, czy przesłać numery następne lub o wpłacenie prenumeraty.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Dzielna 59. m. 4. Telefon 11.12.36. Czynne we środy od godz. 5 — 7 popołudniu.



ZOFJA NAŁKOWSKA

O PISANIU

Znane jest dość sensacyjne wyznanie Raymonda Roussela, zatytułowane: „Jak napisałem swe książki“. Roussel „sposób“ swój za życia zazdrośnie trzymał w tajemnicy i zalecił go ogłosić dopiero po swej śmierci. Był przekonany, że „pisarze przyszłości mogą używać go z korzyścią“, poczytywał więc sobie za obowiązek wiadomość o nim przekazać potomnym. Wyznanie to stanowi istotnie „klucz“ do twórczości Roussela i można przypuszczać, że stało się powodem rozczarowania dla wielu jego nieopatrznych wielbicieli.

Sposób Roussela polega na zupełnie mechanicznem dobraniu dwóch wyrazów podobnych i dorobieniu do nich zdania. Zdanie to przybiera odmienne znaczenie w zależności od tego, który z dwu podobnych wyrazów jest w niem umieszczony. Z chwilą, gdy Roussel zdanie to znalazł, „pozostawało mu tylko napisać opowiadanie“ — przyczem fabułę jego wyznaczała przypadkowa zawartość zdania, które w wersji pierwszej rozpoczynało utwór, a w wersji drugiej stanowiło jego zakończenie. Oto jeden z przykładów, który szczególniej mu się udał: „*Les lettres du blanc sur les bandes du vieux billard*“ (w znaczeniu: listy białe na krawędziach starego bilardu) i: „*Les lettres du blanc sur les bandes du vieux pillard*“ (w znaczeniu: listy białe o hordach starego łupieżcy). Na tem

zdaniu zbudowane zostały Roussela „Wrażenia z Afryki” — z tem jednak, że w ostatecznej redakcji słowo: „lettres” odpadło.

Czytając to, trudno jest uwierzyć, że byli ludzie, którzy utwory tak powstałe brali na serjo. Jednak niewątpliwie temi drogami chodziło natchnienie Roussela. Jestto tem dziwniejsze, że nie był dadaistą, choć go o to pomawiano i miał upodobania literackie bardzo umiarkowane. Nie czytał Apollinaire’a ani Rimbauda, nie znosił teatralnych sztuk psychologicznych, a za mistrzów miał Jules Verne’a, Lotiego i Victora Hugo.

Nie mając do powiedzenia od siebie nic tak ciekawego i o czem mogłabym przypuszczać, że komukolwiek z pisarzy się przyda, spróbuję przedstawić tutaj coś w rodzaju poszukiwanego przez redakcję „Studia” — surowca: trochę spostrzeżeń, łączących się u mnie ze sprawowaniem i techniką mego literackiego zawodu.

W dawnych swych papierach, z czasów, gdy pisałam jeszcze poezję, znajduję takie pierwsze wyznanie: „Twórczość moja wcale nie jest intelektualna — wbrew temu, co się dość często powtarza w opinjach o mnie, zarówno pisanych, jak mówionych. I wbrew temu, co sama byłabym skłonna mniemać o sobie. Rozumiem mniej więcej, co jest dobre lub złe w rzeczach pisanych, postanawiam sobie często pisać inaczej, wiem, jakby pisać należało — ale jestem bezsilna w zastosowaniu tego do siebie. Pomysł powieści albo noweli, uważnie obmyślony i przez rozum zaakceptowany, jest dla mnie często bezużyteczny, całkowicie niewykonalny. Źródłem pomysłu literackiego, są dla mnie pewne silniejsze przeżycia, w sposób nagły dobyte z niewiedzy lub wywołane z niepamięci zapomocą muzyki, smutku, wiosny i nawet cudzej poezji. Samo to doznanie jest zupełnie fizyczne, radosne, olśniewająco niespodziane. Poetycznie możnaby je nazwać „dreszczem

twórczym". W kolorycie przypomina najbardziej wzruszenie erotyczne i — transponowane natychmiast na słowa — wyraża się najczęściej w kształcie gotowego jakiegoś zdania, które przejmuję mię zachwytem. Jego treść nie zawsze jest abstrakcyjna, stanowi urywek dialogu, ułamek sceny czy krajobrazu. Niekiedy krótkie określenie człowieka. I ta formuła pierwotna doznanej radości stanowi jądro, do którego zbiega się następnie całe mnóstwo scen, dialogów, osób i biografji, stanowi „temat". Odtąd mam w sobie pewność, że to napiszę. Nie spieszę się, nie czuję obawy, że mi się to wymknie, że zginie".

Później pisałam: „Pisząc, doznaję często wrażenia, że rzecz, która ma być napisana, już gdzieś konkretnie istnieje — a ja muszę ją odgadnąć, odtworzyć, jak-gdyby: gotową odszukać. (Jestto wrażenie dość nieuchwytnie, niezupełnie zgodne z wersją platońską i psujące się, gdy jest powiedziane). Więc nie mogę pisać, jak *chcę* lub *postanowię*, jestem bowiem skrupowana tem czemś, co odczuwam jako gotowe, co mię obowiązuje. Staram się pisać tak, żeby było najbardziej do tamtego wyczuwanego podobne, najbliższe, pragnę daremnie, by było takie samo, jak wzór. Tak wygląda ta autorska ambicja, ta konieczność, żeby poprawiać jeszcze i jeszcze".

O tym samym czasie młodości, w trakcie lektury Stendhala i Avenariusza, pisałam: „Ze smutkiem stwierdzam, że nierównie większą rozkoszą jest czytanie rzeczy dobrych, niż tworzenie. Czytając mam do czynienia z tem, co mię przerasta, co mi jest dostępne tylko jako gotowy czyn cudzy. A to co tworzę sama, jest tem zaledwie, co leży w mojej mocy".

Mimo to raziło mię już wtedy rozważanie twórczości literackiej, jako posłannictwa, pełnionego w natchnieniu i źródła swych nakazów mającego w świecie nadprzyrodzonym. Trzeba wyznać, że nakaz twórczy

wyczuwa się niekiedy podmiotowo jako przychodzący z zewnątrz, zgóry zesłany, metafizyczny. Nie należy jednak ufać takim wyczuciom, towarzyszącym zresztą w tej samej jakości i napięciu wszelkiej grafomanji i całkowicie nie miarodajnym.

Pisanie — chociaż odbywa się w oparach zachwyty i megalomanji — jest z natury swej przedłużeniem techniczmem (o ołówek albo maszynę) zwykłych czynności wyobraźni. Układanie planu życia wygląda zupełnie tak samo, jak obmyślanie powieści. Jestto podobnie robieniu projektów, pobieraniu postanowień, rozpamiętywaniu zdarzeń, przygód własnych i cudzych. Nie jest w istocie swej inne. Przemyka się oczy i zamierza: „Oprawić wszystkie książki, poustawić na półkach według wzrostu...” Albo: „Od jesieni wziąć mieszkanie ze słońcem, ustawić stół pod oknem, pisać”. I jeszcze: „Pracować od dziewiątej do drugiej, tylko popołudniu odpowiadać na listy. Być codzień na spacerze”. I podobnie: „Ta para ludzka w ogrodzie jesienią, w chłodny dzień — co to było? Dziecko bało się ich i jednak biegło za nimi. Dziecko w zielonym płaszczku, w zielonej czapeczce i kamaszach, całe jak żabka, nie było jego dzieckiem — a przecież bardziej bało się jej... Miała chyba ze czterech lat ta dziewczynka, może mniej, i nie mogła ich dogonić. Zaraz. Przedtem jednak wszyscy stali i obca kobieta stała z nimi, pożegnała ich i odeszła w stronę bramy, a za nią parę kroków pobiegła ta mała. I zaraz stanęła, ostrym głosem odwołana przez matkę, przerażona. Jej malutka twarz, brzydka z zimna i z rozpacz, skrzywiła się do płaczu. Ale otwarte, jak u ryby, usta nie wydały głosu, nie było wcale czasu płakać, bo tamci, rozmawiając o swoim, szli już w stronę przeciwną, nie oglądając się więcej. I zielone dziecko biegło wciąż drobnym truchcikiem, jak mały pies, za nimi, idącymi w głąb ogrodu i nie mogło

ich dogonić. Nikt jej nie prowadził jak się to mówi, „za rączkę“, nikt jej nie wołał — ani ten obcy, który napewno nie był jej ojcem, ani matka, — nikt nawet nie oglądał się za nią...“ No i jeszcze: „Wracali najpewniej z roboty, od budowy — ci trzej robotnicy w tramwaju linii okrężnej. Jechali wieczorem z jednego przedmieścia fabrycznego na drugie. Siedzieli pochyleni ku sobie i rozmawiali półgłosem, zupełnie na siebie nie patrząc. Wyglądali jakby byli chorzy. Wszyscy trzej? dlaczego?“

Takie rozpamiętywanie rozporządza tym samym aparatem tematyzacji, tym samym ostatecznie zasobem materiału, co pisanie, posługuje się podobnym mechanizmem skojarzeń i przebiega niekiedy przy ciśnieniu emocjonalnem nie niższem od „natchnienia“.

I nie jest istotne, że w jednym wypadku wynika z tego zwykła plotka (która zresztą nigdy nie jest tak zupełnie zwykła), w innym — list do przyjaciela, gorąca rozmowa, opowiadanie, namiętne lękające słuchacza. A w innym wypadku — nowela albo powieść. I czy ta powieść okaże się czemś autentycznym i dośłownym, czy utworem bez wartości — to też nie zmieni istoty procesu twórczego, który w obu wypadkach subiektywnie będzie ten sam. Bo gdybyśmy nawet mogli ustalić jakąś różnicę w doznawaniu uczucia wartości u piszącego, to wypadnie ona raczej na niekorzyść twórczości autentycznej, która przysparza naogół więcej wątpliwości i udręki — a może z nich właśnie wynika, niemi jest uwarunkowana.

Odjęcie twórczości cech posłannictwa wiąże się z zagadnieniem jej wpływu moralnego na czytelnika. Pocucie odpowiedzialności stanowi dla wielu pisarzy powód do obawy, czy ich książki nie oddziałują gorzej, czy w dostatecznej mierze podnoszą innych na duchu, czy ich aby krzepią.

Muszę wyznać, że tej troski nie doświadczyłam ni-

gdy. Sama myśl, że do czegoś takiego byłabym zobowiązana, przejmuję mnie zażenowaniem. Nie czuję się w prawie do takiego wynoszenia się nad czytelnika, który niczem mnie do tego nie upoważnia, o którym nic nie pozwala mi mniemać, że łaknie pociechy czy pouczenia. Sama zresztą jako czytelnik, nie znoszę u pisarzy tonu, który zdradza, że w sprawach moralności czy wiedzy o życiu uważają się za besserwesserów.

Nie mam danych przypuszczać, abym lepiej od kogokolwiek wiedziała, jak żyć należy. Nie pochylam się nad czytelnikiem, jak nad „maluczkiem“, nie mam wcale obowiązku być od niego mądrzejsza. Pisząc, nie do wierzenia podaję cokolwiek, tylko do wspólnego rozważania, raczej dzielę się własnymi wątpliwościami, niż jakąkolwiek pewnością. Czytelnik nie jest jeden, jak ja, jest go nierównie więcej, jego sąd jest zbiorowy, nawzajem się uzupełnia i koryguje.

To natomiast, do czego czuję się zobowiązana z tytułu mego zawodu i co uważam za jego moralność, to jest odtworzenie i interpretacja rzeczywistości tematycznej wedle mojej „najlepszej wiedzy“. Dlatego nie ma tu miejsca na *powinno* — to jest na uwznioślenie tej rzeczywistości, gdy już samo poznanie jest tak trudne. Tylko jest miejsce na *jest*, na stan rzeczy, na najuczciwszy protokół tego przebiegu, który zachodzi przy poznaniu danej rzeczywistości czy jej wycinka.

Wszystko to mówić można tylko w przybliżeniu — z uwagi na niedoskonałość lub raczej specyficzną jakość samych środków poznania.

Niedoskonałość pisarza, jako tego, który daje świadectwo prawdzie, wynika stąd, że i on, jako podmiot poznający, zrobiony jest z tej samej materji istnienia, co dany do poznania przedmiot. Sam przytem organ poznania ulega w nas ciągłej zmianie, włączając w swe procesy własne osiągnięcia i zdobycze. Materiał pamięci, zawartość wiedzy dziedzicznej i zdobytej przez

doświadczenie — zasymiliwana, wchodzi w skład poznającej świadomości, jako przeświadczenia, jako konwenanse. Niebezpieczeństwo tkwi w tem, że niejako poznajemy poznanem, sądząc, że poznajemy sobą. Niebezpieczeństwo to jednak jest nie do uniknięcia.

W niektórych momentach twórczego przebiegu podmiot przenika się i miesza z przedmiotem — naprzekór egocentrycznemu przesądowi człowieka, który rozłamał świat na ja i nie-ja dla ułatwienia sobie w nim orjentacji. Te chwile najcięższego zamroczenia wewnętrznego i najwyższego monistycznego patosu uczuwane są przez poetę jako stan natchnienia, w którym „graniczą Stwórca i natura“.

Nie zapuszczając się tak daleko, musimy wyznać, że rzecz każda, podlegająca tematyzacji, jest może kiedyś dla nas na krótką chwilę prawie „taka, jaka jest“ — w chwili pierwszego olśnienia, w chwili odebrania twórczości ciosu. Ale raz wydarty z naturalnego biegu rzeczy, przestawiony w dziedzinę naszego o nim myślenia, temat zmienia swą naturę, spieszy się do dalszych przetworzeń. Narzucony przez życie, przychodzący zzewnątrz, jak wstrząs, natrafia w nas na materiał, nagromadzony w pamięci przez dawniejsze doświadczenia, i uruchamia go na swój użytek. Rozgałęzia się i narasta, grubieje od skojarzeń, przyciąga je do siebie, jak opilki.

Jestto proces niejasny, od nas niezależny, w bardzo małym zakresie dający się skontrolować — podobny w tem do procesów fizycznych, które łatwiejsze są do uchwycenia w swych stanach chorobowych, niż normalnych.

Jestem skłonna mniemać, że styl pisarza, jakoś jego rodzaju literackiego zależy też od tego, czem rozporządza on wobec tematu, jako materiałem zamagazynowanym. A także — jaka jest o danej chwili wartość tego stanu posiadania.

Czerpiąc z zasobów naszej pamięci, temat dobiera sobie na drodze skojarzeń materiał — niezależnie od stopnia jego przeróbki, jego wewnętrznego załatwienia, jego oddalenia od źródeł życia, jego uogólnienia, sublimacji czy spetryfikowania. Niełatwo jest ten materiał selekcjonować w chwili „gorącej“, gdy idzie jeszcze o „treść“ nie o „formę“. Różne fazy wydają się tu przydatne, przynajmniej na razie — w pierwszej, entuzjastycznej wersji tekstu. Tak powstaje bruljon — rzecz „źle napisana“, którą trzeba jeszcze poprawić i opracować. Technika tego opracowania, sztuka pisarska, polega zapewne na harmonizowaniu tych niejednorodnych składników, których różny „wiek“, powoduje szereg błędów formalnych. Praca nad zatarciem tych nierówności jest bardzo ciężka i — co tu mówić — prawie daremna.

Zresztą te błędy pozostają nawet w arcydziełach. Właśnie rzeczy niezłatwione myślowo, niedość uzgodnione nazewnątr, są niepokojem, młodością i urokiem twórczości.

Cały ten materiał, który „dodajemy“ od siebie do pisanej rzeczywistości jest wobec niej czynnikiem deformacji, odbiera nam możliwość „obiektywnego“ jej, realistycznego odtworzenia. Złudzeniem też jest, aby utwór jakkolwiek mógł być istotnie wolny od „tendencji“, by w kolorystyce i rytmie stylu, w motywach skojarzeń i doborze metafor nie demaskował całej osobowości autora — za jego wiedzą, czy bez jej udziału.

Dlaczego, tematyzując rzeczywistość, nie poprzestaję na mówieniu plotek, pisaniu listów do przyjaciół albo opowiadaniu własnych i cudzych przygód przy kominku? Dlaczego jestem autorem? Co mię do tego skłania?

Zdaje się, że przyczyną jest tu pewna właściwość mej myśli, którą nazwałem sobie kiedyś złośliwie lep-

kością". Lepkość, czepliwość, uporczywość. Bo nie mogę odzegnać się od natrętnego tematu, jestem go długo ciekawa, jestem zajadła w tej ciekawości. Gdy myślę o zagadnieniu czy człowieku, nie dam się pierwszą, odrazu nasuwającą się diagnozą tak łatwo zbyć. (Například: „Ci robotnicy w tramwaju, o których można było myśleć, że wszyscy trzej wyszli ze szpitala, że długo leżeli chorzy. Jednak nie ze szpitala wracali. Ich ubranie pochłapane było wapnem, wracali z budowy. A przecież byli inni, niż reszta ludzi w wagonie. To nie wynikało z górnego oświecenia, że każdy miał pod kośćmi policzkowymi dwa czarne doły, jakby miejsca po wyjętych drugich oczach. I takie same czarne doły miał na skroniach ten jeden, który zdjął czapkę i trzymał ją na kolanach. Ich skóra była przyschnięta do kości. Patrzyli nisko, mówiąc. Nie mogli wyżej podnieść powiek, nie śmiali się, mówili cicho, nie domykali ust. Za każdym słowem rząd zębów wysuwał im się z bezsilnych, płaskich warg. I szczęki obciążone ciasną, chudą skórą, były nią skrępowane w ruchach i były prawie nagie, jak kości. Nie byli starzy, byli zupełnie młodzi“.)

Co do zielonego dziecka, to rzecz nieprędko się wyjaśni. Jakaś inna kobieta, inna zupełnie sprawa przysuwa się tu blisko, by tamtą rzecz w parku dać zrozumieć. („Ta kobieta, ta młoda matka w bezlistnym ogrodzie nie była wesoła, nie była zalotna, wcale nie szczęście kazało jej nie pamiętać o przerażonym, zielonem dziecku. Miała twarz gniewną, była niezadowolona, była nieładna. To on raczej, jej towarzyszy, zdawał się chcieć ją przejednać. Ona odpowiadała — pochmurna, szorstka, nieodpychająca jednak, może stawiająca tylko jakieś warunki. Była jedyną istotą tu w ogrodzie i może na ziemi, u której to dziecko mogło szukać opieki — i właśnie jej nie mogło dogonić i właśnie jej się bało“.)

(Co do robotników, to „tego wieczoru chyba — po długiej zimie bezrobocia — musieli dostać na wiosnę pracę sezonową. Ale nie mogą już przestać należeć do tej rasy bezrobotnych — do ludzi, którzy żyją w sposób niepełny, którzy są wyschnięci z głodu, jak niektóre owady z suszy, którzy już do pewnego stopnia umarli. I dlatego z mniejszym wahaniem, niż inni, dlatego bez żadnej ostrożności idą w takie dnie na ulicę, gdzie mogą zginąć. Idą pod magistrat i później idą na cmentarz — i oni właśnie umierają tam od kul.”)

Gdy opisując rzeczywistość wedle naszej najlepszej wiedzy, deformujemy ją jednak naszą relacją, nie odchodzimy od niej tak daleko. Deformujemy ją bowiem nie tak zupełnie własnym kosztem, ale czerpiąc z zasobów, przez nią samą w nas zdeponowanych.

Zofja Nałkowska

BRUNO SCHULZ

O SOBIE

Od kiedy mogę wychodzić na miasto, jest to dla mnie znaczną ulgą. Ale jakże długo nie opuszczałem mego pokoju! Były to gorzkie miesiące i lata.

Nie potrafię wytłumaczyć faktu, że jest to dawny mój pokój z dzieciństwa, ostatnia izba od ganku już za owych czasów rzadko odwiedzana, wciąż zapominana, jakby nie należąca do zespołu mieszkania. Nie pamiętam już, jak tam wszedłem. Zdaje mi się, że była noc jasna, wodnisto biała noc bezksiężycowa. Widziałem każdy szczegół w szarej poświacie. Łóżko było rozesłane, jakby dopiero co ktoś je opuścił, nasłuchiwałem w ciszy, czy nie dosłyszę oddechu śpiących. Któż mógł tu oddychać? Odtąd mieszkam tu. Siedzę tu od lat i nudzę się.

Gdybym był zawczasu myślał o robieniu zapasów! Ach wy, którzy jeszcze możecie, którym dany jest jeszcze własny czas na to, zbierajcie zapasy, ciulajcie ziarno, dobre i pożywne, słodkie ziarno życia, bo przyjdzie wielka zima, przyjdą lata chude i głodne i nie obrodzi ziemia w egipskim kraju.

Niestety nie byłem jak skrzętny chomik, byłem jak lekkomyślna mysz polna, żyłam z dnia na dzień bez troski o jutro, dufna w swój talent głodomora. Jak mysz myślałem sobie: cóż mi głód zrobi? w ostateczności mogę gryźć i drzewo albo drobić pyszczkiem

papier na malutkie listeczki. Najuboższe zwierzę, szara mysz kościelna — ostatnia w szeregu stworzeń — potrafię żyć z niczego. I tak oto żyję — z niczego w tym umarłym pokoju. Muchy dawno w nim powyzdychały, przykładam ucho do drzewa, czy tam w głębi robak nie chrobocze. Grobowa cisza. Tylko ja, nieśmiertelna mysz, samotny pogrobowiec szeleszczę po tym martwym pokoju, przebiegam bez końca stół, etażerkę, krzesła. Sunę podobna do ciotki Tekli, w długiej szarej sukni do ziemi, zwinna, prędką i małą, wlokąc za sobą szeleszczący ogonek. Siedzę teraz w biały dzień na stole nieruchoma, jak wypchana, oczy moje, jak dwa paciorki wyszły na wierzch i błyszczą. Tylko koniec pyszczka pulsuje ledwo dostrzegalnie, żując drobnitko z przyzwyczajenia.

To należy naturalnie rozumieć. metaforycznie. Jestem emerytem, a nie żadną myszą. Należy to do właściwości mojej egzystencji, że pasorzytuję na metaforach, daję się łatwo ponosić pierwszej lepszej metaforze. Zapędziwszy się tak, muszę dopiero z trudem odwoływać się z powrotem, wracam powoli do opamiętania.

Jak wyglądam? Czasem widzę się w lustrze. Rzecz dziwna, śmieszna i bolesna! Wstyd wyznać! Nie widzę się nigdy *en face*, twarzą w twarz. Ale trochę głębiej, trochę dalej stoję tam w lustrzanej przestrzeni, nieco z boku, nieco profilem, stoję zamyślony i patrzę w bok. Stoję tam nieruchomo patrząc w bok, nieco w tył za siebie. Nasze spojrzenia przestały się spotykać. Gdy się poruszę i on się poruszy, ale napół odwrócony, jakby o mnie nie wiedział, jakby zaszedł poza wiele luster i nie mógł już powrócić. Żal ściska serce, gdy go widzę tak obcego i obojętnego. — Przecież to ty, — chciałbym zawołać — byłeś mojem wiernem odbiciem, towarzyszyłeś mi tyle lat, a teraz nie poznajesz mnie. Obcy i gdzieś w bok patrzący

stoisz tam i zdajesz się nasłuchiwać w głąb, czekać na jakieś słowo, ale stamtąd, z szklanej głębi, komuś innemu posłuszny, skądinąd czekający rozkazów.

Siedzę tak przy stole i wertuję w starych, pożółkłych skryptach uniwersyteckich — jedyna moja lektura.

Patrzę na spelzlą zetlałą firankę, widzę, jak lekko wzdyma się od zimnego tchu z okna. Na tym karniszu mógłbym się gimnastykować. Doskonały rek. Jak lekko koziołkuje się na nim w tem jałowem, tylekroć już spożytem powietrzu. Od niechcenia niemal wykonuje się elastyczne *salto mortale*, chłodno, bez udziału wewnętrzznego, czysto spekulatywnie niejako. Gdy się tak stoi ekwilibrystycznie na tym ręku, na końcach palców, dotykając głową sufitu, ma się uczucie, że w tej wysokości jest nieco cieplej, ma się ledwo wyczuwalne złudzenie łagodniejszej aury. Od dzieciństwa lubię tak patrzeć na pokój z ptasiej perspektywy.

Siedzę i słucham ciszy. Pokój jest poprostu wybielony wapnem. Czasem na białym suficie wystrzeli kurza łapka pęknięcia, czasem płatek tynku obsunie się z szelestem. Czy mam zdradzić, że pokój mój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jakiż sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli niema zapory, intensywnej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi, jak w kuchni mego dzieciństwa z żelazną klamką i rygłem. Niema pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, by mu je zainsynuować.

Bruno Schulz

ZOFJA GOŹDZIEJEWSKA

CEGIELNIA, PROZA I MÓJ DOM U WIERZBY

To, że jest maj, wiosna, że życie pomimo wszystko jest piękne, spostrzegało się dopiero w dzień, w jakiejś stosownej chwili. I każdy z osobna. Dla każdego ta chwila wypadła w innej porze, zależnie od wielu okoliczności. I nigdy się nie wiedziało, kiedy przyjdzie. Zato noce były dla wszystkich jednakowe, zimne, złe, jakgdyby wyjęte z innego życia. Najpierw wstawała stara Klimka. Jej zawsze zagniewana, niedobra twarz, przylepiona do szyby zapowiadała, że to już za parę minut druga i czas na zmianę. I wtedy myślało się, opatulając ciepłe jeszcze od snu ciało w jakieś stare swetry i chustki: „że też ta stara jędza nigdy nie zaśpi. Raz by się człowiek wyspał porządnie do szóstej, jak ludzie“. A jednocześnie: „żeby nie ona, toby się napewno zasnęła i zmiana by przepadła“. Te dwie najzupełniej sprzeczne myśli wcale się ze sobą nie kłóciły, stały obok siebie najspokojniej.

Wstawały zorze. Najpierw daleko, za strumieniem czerwienił się kawałek nieba, potem stopniowo zaczęły się zapalać czubki brzoź na cmentarzu, biała wieża kościoła, wreszcie szyby chałup. To wszystko może nawet było ładne, ale dalekie, obojętne, niepotrzebne, bo tu bliżej na ziemi była zimna rosa, od któ-

rej cierpły nogi. Idąc po tej rosie, myślało się ze złością na samą siebie i na resztę: „jednak dzisiaj toby trzeba koniecznie, żeby która z nas młodych zeszła nadół po wodę do zalania pompy, bo to wstyd, tak zawsze tylko na tę starą patrzeć. Jej też przecież zimno. I pomimo tych wyrzutów i wstydliwych zapewnień: „dziś to już ja sama zejść“ — wkońcu Klimka jak codzień, jak zawsze, musiała brać dziurawy kubek i spuszczać się po oślizgłym brzegu po wodę. Między jej czarnymi, powykrzywianymi palcami wyciskały się bomble zimnej gliny, a wtedy wszystkie opatulone w chustki i kapoty, zawieszone nad burtą ciała przenikał prąd zimna, a zamiast współczucia brała złość na Klimkę, że ona tak się wszędzie nadstawia z tą swoją pracowitością, żeby później kłuć w oczy. I bez niej też by się zalało pompę.

Wreszcie w środku coś zgrzytnęło, z otworu buchnął słup brudnej, żółtej wody, żelazne kolby zrobiły się nieprawdopodobnie ciężkie. Szły wgórę, potem nadół jednakowym, spokojnym ruchem. Nie wyglądało to wcale na ciężką robotę, pod waciakami i chustkami nie znać było naprężonych mięśni ramion. Pracowały same ręce, reszta ciała nie brała w tem żadnego udziału, spała. Tylko oczy musiały czuwać, żeby się nie zamknąć, bo wtedy Klimka krzyczała ostro: „coś się jeszcze nie wyspała jedna z drugą!“ Więc pomału, najobojętniej puszczało się oczy do wsi od jednej chałupy do drugiej. W każdej stało łóżko albo dwa, trzy łóżka z ciepłą pościelą. Spali w nich ludzie. Czasem akurat w takiej chwili Klimka puszczała kolbę i mówiła krótko:

— No tam, do cholery, trzeba odpocząć, człowiek nie koń.

Można więc było zwinąć się w głąbek, otulić w te swoje swetry i kapoty, przylegnąć na mokrej ziemi i

usnąć. A czasem można było znaleźć skarb. Kawalek starej, pożółkłej gazety, bez nazwy i bez daty. Leżała widać całe tygodnie na deszczu, bo zczerniała, ale była ważna, najcenniejsza już przez to samo, że znalazła się akurat teraz pod ręką. I już przez całe godziny nie można było tylko robić, trzeba było myśleć, buntować się, szukać jakiegoś wyjścia. Potem po robocie koniecznie trzeba było czytać. Najrozmaitsze „Przekleństwa grzechu“, „Tragedje młodych dziewcząt, rzuconych pomiędzy bestje ludzkie“, Mniszkównę, Rodziewiczównę, Kossak-Szczucką, Zarzycką. Wszystko jednakowe, ani jednego prawdziwego człowieka, sztuczne, bez życia. A przecież naokoło jest tylu prawdziwych ludzi. Naprzykład: można pisać o tych z fabryki, ale nie o tem, jak są ubrani, co robią, tylko o nich samych, o tem, co w nich jest ludzkie. Bo niby jest literatura proletariacka, jest szary człowiek (poco właściwie szary, poprostu — człowiek) i w dalszym ciągu jesteśmy my i oni, jest góra i dół. Jest Akademia Literatury, ale są i „Ostatnie Wiadomości“. Więc tu od nas ktoś musi mówić, że tak jest źle, trzeba inaczej. Jak to zrobić, żeby to prawdziwe poszło między ludzi. Bo to jest tak, jak w tamtej kuchni w mieście. Nie miała ani kawałka okna, żeby zobaczyć słońce, trzeba było wstać bardzo wczesnie, wejść na palcach do jadalnego pokoju i czekać. Gdzieś na trzecim, tym najwyższym domu był ślad słońca. Czekano się godzinę, może dwie, ślad gdzieś się zsunął, ściana trzeciej kamienicy była znów szara, jak inne. I nieraz, zupełnie niespodziewanie, tuż przy samem oknie na murze naszego domu ukazywał się wąski pasek jasności, robił się coraz szerszy, przesunął się na szybę. Do pokoju wchodziło słońce właśnie wtedy, gdy się już myślało, że wcale nie przyjdzie. I jest radość. Ale pokój jest wąski i długi, okno wy-

chodzi na węższą ścianę, więc słońce jest krótko, a nieraz pani zbudzi się jednak wcześniej. Trzeba prędko i na palcach jak wpięć wycofać się do kuchni. Tu jest tylko elektryczna żarówka, jej żółte mętne światło upiera się koniecznie żeby zastąpić słońce. Nie uda się.

Tak jest z redakcjami. Do samych drzwi jest odważa, ale za drzwiami jest woźny. Najwyższa instancja, autorytet. Od niego zależy, czy pan redaktor jest i czy przyjmuje. Najczęściej nie. Więc znów wędrówka do innych drzwi, jeszcze do innych. Zczasem się trafi, akurat wtedy, gdy już się powiedziało: ostatnia próba, jeśli tu nie, to już nigdzie.

Później znów ulica, tramwaj, pociąg. Tylu ludzi. Siedzą obojętnie, czytają gazety, rozmyślają o swoich sprawach. Jest im dobrze. A przecież też musieli do czegoś dążyć, o coś walczyć. Widocznie zdobyli i teraz mają spokój. A może to tylko tak zwierzchu się wydaje. Żeby to można w twarzy wyczytać.

Pociąg staje. Gdzieś z boku fabryka. I z boku wszystkie sprawy, bo teraz dom. Wszystkie tamte nadzieje, dążenia, zawody muszą się teraz przystosować do słowa: matka, muszą się od tego słowa uzależnić. Więc tamta, zapamiętana jeszcze za życia ojca. Siedziała zawsze przy oknie, odwrócona plecami do mieszkania i patrzyła w noc. Jakby tam widziała rzeczy o wiele ciekawsze, niż tu w mieszkaniu, jakby się tą ciemnością chciała odgradzić od tego czegoś, co się tu działo, dla nas dzieci zupełnie niezrozumiałe, ale niedobre widocznie. Żeby ją można przejrzeć, poznać całą aż do wnętrza. Najprawdziwszy człowiek. I pomimo wszystko trzeba się jej przeciwstawić ze swoim własnym ja, trzeba walczyć z chęcią poddania się jej woli i wkońcu zwyciężyć.

Robi się noc, cisza. I czy się chce, czy się nie chce, ciasna izba, w której mało miejsca dla pięciu osób,

rozszerza się w nieskończoność, robi się taka, że zmieszczą się w niej wszyscy ludzie, których się w życiu spotkało, fabryki, szkoła, to wszystko, co już było. Trzeba przykręcić lampę tak, żeby nikomu nie świeciła w oczy, nikogo nie budziła i pisać — czy to komu przyda się, czy nie.

DOM U WIERZBY

W miejscu, gdzie kończył się nasyp a zaczynał głęboki porośnięty sitowiem dół dawnej glinianki, rosła stara wierzba. Miała gałęzie tylko z jednej strony, długie, napół uschnięte, wyciągały się nad dołem, jak ludzkie ręce. Od strony nasypu pień był gładki, odarty z kory aż do samego wierzchołka.

U pnia tej wierzby dziwacznie poprzyklejana, poprzybijana do drzewa, stała chałupa, podobna raczej do chlewu, niż do ludzkiego mieszkania. Jednym szczytem przymocowana do drzewa, kawałkiem podłogi tylko opierała się o ziemię. Reszta wisiała w powietrzu nad dołem. Trzy napół przegniłe, olszowe słupki, wbite ukosem w piasek, służyły za podpory.

Kto tę chałupę zbudował i kiedy — niewiadomo. Widać było jednak, że materiał na nią narastał latami całemi. Każdy, słupek, palik, deska, miały tu swoją historję i datę; właściciel znosił je, jak ptak na gniazdo, po źdźble, po kawałku. Wszystko tu było nie tak, jak u ludzi, inaczej, dziwacznie. Słoma na dachu zczerniała miejscami powyrywana przez wiatr, dziury zaś zatkało garściami perzu i zeschniętym kartoflanej naci. Nawet komina w dachu nie było. Zastępował go kawałek blaszanej rury, umocowanej w ścianie od strony dołu. Bano się widocznie, żeby od iskry nie zajął się suchy, spróchniały pień wierzby.

W ruderze mieszkał kulawy muzykant Stasinek z żoną i córką Michtą. Muzykant — może to trochę za szumne określenie, bo Stasinek na swoich popękanych skrzypcach umiał grać tylko jedną melodię: jakąś mieszaninę polki i oberka. Ale, że w okolicy nie było nikogo odpowiedniejszego, Stasinek był muzykantem.

Co prawda, to i ludzie tak płacili Stasinkowi, jak on grał, czyli: marnie. Nie mieli więc do siebie żalu; ludzie do niego, ani on do ludzi. Zato miała żal Stasinkowa. Wolałaby, żeby mąż lepiej grał i lepiej zarabiał; Stasinek jednak niewiele sobie z tego robił: wierzył, że żona sama da sobie radę. Z jego grania dobrze, że starczyło na tytoń. Jakoś dawała. Raz lepiej, raz gorzej, ale dawała. Prawda, że latała z posługi na posługę, nocami brała pranie od dziedzica i urzędników z kantoru. Nawet na rodzenie dzieci znalazła czas. Przychodziły co rok i niedługo umierały. Wychowaniem zato zajmował się mąż. Jak je tam wychowywał, Pan Bóg tylko wiedział, i ona czasem. Może właśnie ze strachu przed tą ojcowską opieką nie chciały żyć. Jednego roku umarło odrazu dwoje z tych odchowanych, została tylko najstarsza Michta. To była ojцова córka. Kochał ją i po swojemu wychowywał. Pięcioletni dzieciak był dziki, papierosy paliła, jak chłop. Ludzi bała się, czy tak strasznie ich nienawidziła. Gdy nieraz z za nasypu wyszedł któryś z robotników, zmykała do chałupy, zatrzaśniała drzwi i z nosem w jakiej szparze śledziła, czy aby do nich nie idzie. Nicby ją wtedy nie wyciągnęło z kryjówki, chyba, że ojciec obiecał papierosa. Wtedy po namyśle zdejmowała haczyk i ze spojrzeniem niedobrego człowieka stawiała obok ojca, oczekując spełnienia obietnicy.

Był jeden rok w czasie dzieciństwa Michty, który Stasinkowa nazywała najszcześniejszym rokiem swo-

jego życia. Jakoś wyjątkowo dobrze jej się powodziło w tym roku. Ze swoich posług i prania odłożyła tyle, że starczyło na kupno dwóch świniaków i kozy. Teraz to już było całe gospodarstwo. Ze liczba godzin, przeznaczonych na odpoczynek, znacznie się zmniejszyła, to głupstwo, grunt, że Stasinkowa była gospodynią. Lżej się jej teraz pracowało. Co jej bieda robi? Nic! Jednego świniaka sprzeda, a za pieniądze kupi węgla, kartofli, kapusty na zimę, drugiego zabije dla siebie. I chociaż raz odpocznie po dziecku, wyleży się (miało być jakoś w grudniu).

Jednak ten najpomyślniejszy rok skończył się wcale niepomyślnie. Stasinek umarł niespodziewanie. Wypił podobno piwa na weselu, a że był zgrzany, więc mu zaszkodziło. Ledwo się do domu przywłókł i położył do łóżka. Była to niedziela, czy inny jakiś wyjątkowy dzień, dość, że kobieta była w domu. Pielęgnowała go całe trzy noce, a nawet doktora dwa razy sprowadziła — nic nie pomogło. Trzeciego dnia pod wieczór zaczęło się konanie. Właśnie zachodziło słońce. Ostre, czerwone promienie wdarły się przez nieumyte szybki i trafiły na głowę konającego i siedzącej przy nim kobiety. Te dwie twarze miały jeden wyraz: trupiej rezygnacji. Tylko oczy kobiety latały po izbie, jakby za ratunkiem. Co chwila z pod pierzyny w nogach łóżka podnosiła rozczochraną głowę Michta. Ponure oczy popatrzyły na ojca, na matkę, potem obleciały izbę i głowa znów ginęła pod pierzyną.

Później ściemniło się; godziny szły w tych ciemnościach i o której stary umarł — niewiadomo. Dopiero, gdy w izbie zaczęło się rozjaśniać — dźwignęła się z ławy. Była to przecież zwykła godzina obrządku. Z przyzwyczajenia, jak codzień, powlokła się do chlewika, świniom dała po garstce otrąb, kozie trochę siana. Na dworze był mróz i ostry wiatr. Tyle miała siły,

żeby dojść do chałupy; zaraz potem przyszły pierwsze bóle (przecież to była połowa grudnia, więc czas na nią). Resztą sił chwyciła się łóżka.

— Michta, lećno do Rosłonki, powiedz, że matka chora, niech zaraz przychodzi.

Dzieciak wysunął głowę z pod pierzyny.

— Nie pójde. Rosłoniaki mnie biją, kamieniami we mnie rzucają. Nie pójde i już!

— A to mnie Pan Bóg skarał z tem wszystkim, — zajęczała. — Zdechniesz i nikt cię nie poratuje...

A po chwili z prośbą, cichutko:

— ...Leć, Michcia... Tam, pod pasyjką dziesiątka... weź na cukierki i leć..

Mała złapała chustkę, trepy i poleciała.

— Chodźcie-no do nas, Rosłonko, matka zachorowała.

— Dobrze, już idę, tylko torfu na ogień podrzucę, żeby nie wygasł i leć.

Wyszły z izby za stodołę, ku chałupie muzykanta. Baba, w wielkiej chustce i butach z cholewami brnęła w śniegu po kolana, dzieciak szedł jej śladami.

— Przecież ty te trepy pogubisz w takich zaspach. Nie było to wziąć matczynych trzewików? A dawno to matka chora?

— Dzisiaj; jeszcze świniaki napasła i kozę, a potem, jak przyszła, stanęła przy łóżku i mówi: leć po Rosłonkę.

— Stoi matka, mówisz? To dlaczego nie położyła się do łóżka?

— A bo na łóżku ojciec leży. Umarł w nocy i leży, to matka boi się położyć koło niego.

Kobieta przystanęła. Popatrzyła na dziecko, potem na chałupę i zawróciła do wsi.

— Niechno ze mną która idzie do muzykantki. Stary podobno umarł tej nocy, a kobiet zległa.

Gromadką pociągnęły do chałupy muzykanta. Drzwi do izby nie były zamknięte, widać Michta w pośpiechu zapomniała założyć haczyk; po izbie hulał wiatr. Na środku stał szaflik z reszkami zamrożonego, koziego picia. Na podłodze ode drzwi aż do łóżka porozlewane krwawe plamy.

Kobiety zatrzymały się u drzwi strwożone. Rosłonka tylko śmielsza podeszła do łóżka i odchyliła pierzynę. Było zapóźno. Między trupem a nieprzytomną kobietą leżało zimne, sztywne ciało noworodka.

Zofja Goździejewska

WITOLD GOMBROWICZ

SKAZIĆ UROK
NOWOCZESNEJ PENSJONARKI!
(Z powieści „*Ferdydurke*“)

I znowu to samo! I znowu wieszcz wieszczcy, nauczyciel głądzi wieszczem, na życie zarabia, uczniowie pod ławkami męczą się w prostracji, palec w bucie kręci się, jak kołowrotek i nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem i nie pieprz Pietrze pietrza wieprzem i nie wieprz Pietrze wieszczą pieprzem, nudno, nudno, nudno! I znowu nuda ciśnie, pod ciśnieniem nudy, wieszczą i nauczyciela rzeczywistość się pomału w świat przemienia ideału, daj mi teraz marzyć, daj! I już nikt nie wie, co jest realne, a czego wogóle niema, gdzie prawda, gdzie złuda, co się czuje, czego się nie czuje, gdzie naturalność, a gdzie sztuczność, zgrywa i to, co *powinno być*, miesza się z tem, co nieubłaganie *jest* i jedno drugie dyskwalifikuje, jedno drugiemu odbiera wszelką rację bytu, o, wielka szkoła nierzeczywistości. — A więc i ja także przez bitych pięć godzin marzyłem o swym ideale, gęba w pustce rozrastała mi się, jak balon, bez przeszkód — bo w świecie abstrakcyjnym, irrealnym, nie było nic, coby mogło wrócić ją do normy. A więc i ja także miałem już swój ideał — nowoczesną pensjonarkę. Byłem zakochany. Marzyłem, jako smętny amant i aspirant. Po nieudanych próbach pozyskania ukochanej — po próbie wyszydzenia ukochanej — za-

łość wielka mną owładnęła, wiedziałem, że wszystko stracone.

Piętakowa zauważyła rychło z bystrością matki, że jestem zadurzony w córce. Nie potrzebuję dodawać, że podeksycowało ją to odkrycie. Chłopiec staromodny i zmanierowany, nie umiejący ukryć swojego zachwyty dla nowoczesnych atrybutów pensjonarki, był niejako językiem, którym mogła ona smakować i wy czuć wszystkie uroki córki, a pośrednio — własne. Tak więc stałem się językiem tej tłustej kobiety — a im bardziej byłem staroświecki, nieszczerzy i nienaturalny, tem one lepiej czuły nowoczesność, szczerłość i prostotę. A przeto te dwie rzeczywistości infantylne — nowoczesna i staromodna — pobudzając jedna drugą, jątrząc się i podniecając tysiącznemi, najdziwniejszemi spięciami, kumulowały się i piętrzyły w świat coraz bardziej niedojrzały i zielony.

I doszło do tego, że Piętakowa stara jęła wprost popisywać się przedemną, chwalić się i puszyć się nowoczesnością, która poprostu (jak się potem przekonałem) młodość jej zastępowała. Nieustannie przy jedzeniu oraz w wolnych chwilach odbywały się rozmowy o Swobodzie Obyczajów, Epoce, Rewolucyjnych Wstrząsach, Czasach Powojennych etc. i stara zachwycona była, że może być młodszą Epoką od chłopca, który był młodszy wiekiem. Zrobiła z siebie młodkę, a ze mnie staruszka. — No, cóż tam nasz młody staruszek? — mawiała — Nasze zgniłe jajo?

I z wyrafinowaniem inteligentnej inżynierowej nowoczesnej jaką była, znęcała się nademną swoją przedsiębiorczością życiową i swoim doświadczeniem życiowem i tem, że zna życie i tem, że jako sanitariuszkę skopano ją w okopach podczas Wielkiej Wojny i swoim zapalem i horyzontami swemi i liberalizmem swoim Kobiety Postępowej, Czynnej, Śmiałej tudzież oby-

czajem swoim nowoczesnym, Kultem dla nieślubnych dzieci i jawnem chodzeniem do wychodka. Ostentacyjnie poklepywała przy mnie swą dziewczynę, udając rówieśnicę i siostrę w Epoce. Dziwne, dziwne rzeczy!

Pensjonarka jednak była ostrożna. Od gwałtowniejszej sceny w jej pokoju ignorowała mnie — ignorowała, jak tylko nowoczesna pensjonarka to potrafi, niemniej doskonale wiedziała o mem rozkochaniu w jej urokach nowoczesnych. Potęgowała zatem te uroki w sposób okrutny i bezwzględny, wystrzegając się jednak starannie wszelkiej kokieterii, któraby mogła ją odemnie uzależnić. Tyle tylko, że sama dla siebie stawiała się coraz dziksza, bardziej bezczelna, śmiała, ostra, gibka, wysportowana i łydczana, że szparko dawała się ponosić nowoczesnym wdziękom. I siadywała przy obiedzie, ah, dojrzała w niedojrzałości, pewna siebie, obojętna — i nigdy, nigdy nie zdołałem przyłapać jej na najmniejszym choćby załamaniu w stylu.

To właśnie mnie w niej urzeekało — owe dojrzałości i suwerenność w młodości. Gdy my tam, w szkole, miewaliśmy wągry, gdy nieustannie wyskakiwały nam rozmaite krosty, ideały, gdy ruchy mieliśmy niewypierzone, gdy co krok, to gaffa, gdy gęby różnorałkie, ideologiczne, zakwitały nam, jak kwiecie w maju — jej *exterieur* był zadziwiająco wykończony. Młodość dla niej nie była wiekiem przejściowym — młodość dla nowoczesnej stanowiła jedynie właściwy okres życia człowieka — gardziła ona *dojrzałością*, a raczej *niedojrzałość* była dla niej *dojrzałością* — nie uznawała bród, wąsów, mamek, ani matek z dzieckiem — i stąd brała się jej moc magiczna. Młodość jej nie potrzebowała żadnych ideałów, gdyż sama dla siebie była ideałem. Nie dziwota, że ja, udręczony młodością idealistyczną, łaknąłem jak kania tej młodości ide-

alnej. Lecz nie chciała mnie! Gębę mi zrobiła! I z dniem każdym straszliwszą robiła mi gębę.

Przebóg — jakże mię torturowała w krasie mojej! Ach, nie znam nic okrutniejszego, niż człowiek, który drugiemu człowiekowi gębę robi. Wszystko mu jest dobre, byle w śmieszność, w groteskę, w maskaradę wepchnąć, albowiem brzydota tamtego — jego piękność syci. Wkońcu porzuciłem ostatek nadziei na porozumienie z pensjonarką. Już nie pragnąłem zbratać się z nią. Pragnąłem — zniszczyć ją. Wyzwolić się z tego uczucia. Skazać tę urodę, która się nademną pastwiła. Zepsuć im tę ich przekłętą nowoczesność!

Roilem najdziksze plany. Oszpecić twarzyczkę! Nos jej uszkodzić, oderżnąć. Nie, duszy nic po nosie, dusza — tylko przewycięzeniem duchowem się wyzwała. Szyderstwo nie dało żadnych rezultatów — w istocie cóż znaczy takie szyderstwo za plecami? I zresztą szyderstwo było nie czem innem, jeno hołdem właśnie! Gdyż na dnie szyderstwa czaiła się piekielna żądza podobania — jeżeli szydziłem to po to jedynie, by ustroić się w pawie pióra humoru, ironji, dowcipu — i dlatego tylko, że zostałem odpalony. A także szyderstwo zwracało się przeciwko mnie, czyniąc mi gębę jeszcze obrzydliwszą i straszniejszą. I z takim szyderstwem nie śmiałem wystąpić wobec niej — wzruszyłaby ramionami. Bo dziewczyna, podobna w tem do innych ludzi, nigdy nie złęknie się tego, kto szydzi, ponieważ nie został dopuszczony...

A tymczasem gęba stawała się coraz okropniejsza. Im zaś okropniejsza była, tem bardziej Piętakowa z Piętakówną konsolidowały się w swoim stylu nowoczesnym i tem okropniejszą robiły mi gębę. O, styl — narzędzie tyranji! Przekleństwo! Lecz przeliczyły się baby! Gdyż musiał jednak nadejść nieuchronnie moment, w którym gęba stała się tak fatalna, ślamazarna,

gapiowata, zmanierowana, staromodna, nieudolna i pasudna, że sama idea urody przestała do niej pasować — umarła. A wtedy popadłem w tak ostateczną brzydotę, szpetotę, że nawet marzenie o pozyskaniu pensjonarki stało się niedostępne. I wtedy — ruszyłem do ataku na całego. Hajda, hajda, hajda na urodę nowoczesnej pensjonarki!

Witold Gombrowicz.

ZOFJA ZAHRTOWA

PANOPTICUM
(dokończenie)

Bernardyna. Pod oknem jej rosły — tak je lubiła — prawie czarne heljotropy, a od ich duszącego, aż ciężkiego zapachu trudno się było oderwać, jak od narkotyku.

Kładła na ustach palec, cudowny w kształcie, a jej uśmiech — wtedy — chciało się rozwikłać, jak zagadkę.

Ktoś jeden tylko wiedział, że nienawidziła drugiego męża tak samo, jak pierwszego kochała. Niktby się tego nie domyślił — taka była zawarta w sobie, skończona, spokojna, chociaż zupełnie bez hipokryzji.

Nie dlatego, że mówiła tak często: „te chamy“. Czuło się, że musiały się nawarstwić, że musiały się ustalić, rozwinąć, utrwalić w czasie cechy, wyrosłe z nieróbstwa i zbytku, żeby mogła być aż taka bez uchybień żadnych, taka bez błędu jednolita i doskonała.

Pragnęła złota — i nie o uciechy tu chodziło. Chciała mieć — skąpa w niedostatku — złoto i złoto, żeby móc zaspokoić żądzę, żeby móc nasycić głód formalnej nieskazitelności: czarodziejstwa barw na pociemniałych obrazach, materiałów o miąższu jak ircha, jedynych, nigdzie więcej nie powtarzających się kształtów. Mieć cieplarnię pełną brunatnych, dziwacznych storczyków, puchy z edredonów, pożółkłe koronki, białe atlasy wnętrza karet, kryształ, w których gra rozłamana w nich tęcza. Łaknęła piękna jak należnego sobie najśluszniej atrybutu.

A fale złota napływały tuż, zdawałoby się łatwe do zagarnięcia i odpływały na przepadłe, jak ciężkie od owoców w ogrodzie udręki gałęzie Tantala.

I może nikt tak nie pojmował melodii wiatru; kołysała się w jego szumie, drgała żałośnie od jego płaczu, ocierała się o jego przelot, dawała się porywać jego szaleństwu.

Kiedy mówiła, słowa jej były przyciszone, łagodne, równe, jak nizane na sznurki perły jednakowe. Któż śmiałby uwierzyć, któżby miał prawo się domyśleć, że wtedy już żaden, najmocniejszy nawet dźwięk nie dochodził do jej uszu. Nie słyszała nic, zupełnie nic. Była głucha.

Umierała trudno i długo — na serce.

Hipolit. Miał przestrzeloną lewą rękę, a kiedy go się zobaczyło — zjawiało się w myśli — to barwne, co przywoził, co przysyłał: amulety i małe bożki, szale tkane złotem, dziwne w kształcie naczynia i owoce: winogrona niezwykle i wielkie, łatwo rozpadające się na segmenty granaty o purpurowej skórce i wydłużone banany mdłe i aromatyczne, oliwki śliskie, czarne i ogromne orzechy, obrosłe jakby we włókna porzniętej rogoży, jego kufer z podnoszonemi przegrodami, kartki na nim: dalekie porty, odległe miasta, oazy pustyni, kopalnie rud i złota.

Było w nim opanowanie, umiar i spokojna, niemal dostojna godność dokonanych czynów. Obciągnięta szczerlnie żółtawa skóra nie miała prawie wcale zmarszczek. Nos prosty, profil ostry, surowy jak na starych monetach.

Uśmiechał się rzadko, raczej cierpko i zgryźliwie. Wcale nie pochyły, zastanawiająco na swój wiek sprężyste się poruszał. Był poważny, skupiony w każdym geście.

I zdumiewało zawsze, że to on właśnie roztrwonił ogromne dobra, te lasy pełne budulcu, rybne stawy,

orne pola i biżuterję, antyki, srebra. To było niewiarogodne i jakby względne. Bo ważne w nim było to drugie: że głodował, że padał ze zmęczenia i że dźwigał ciężary w portach, że pracował w kamieniołomach, zamiatał ulice i to jego, co mówił „o wiośnie ludów“.

Nie znosił dzieci. Ucząc z pogardliwą niechęcią patrzył na otwarte abecadło. Od kulfonów, stawianych na tablicy z nieukrywaną wzgardą się odwracał. A przecież jego precezyjne plany gmachów budziły zachwyt, od ręki malowane kwiaty zastanawiały znawców. On, który nie pisał a sztychował i iluminował — poprawiał kaligrafię piórem, skrzypiącym złowrogo, nienawistnie, żeby później, po wielu latach powiedzieć z życzliwym nawet uśmiechem do podlotka: „Jesteś, jak różowa rzodkiewka, schrupią cię“ — i podsuwał wiązankę róż dziwnacznych na podporządku ulepioną z chleba.

Był wszędzie pożądanym gościem, jego towarzystwo nie znużyło nigdy i nie zaciążyło. Dawał siebie spokojnie, równo, szerokie i dalekie rozwierając sobą perspektywy. Wypełniał czas barwnie, rozumnie — nie narzucając nic nikomu. Jak mało kto zdawał sobie sprawę z tego, co należało brać, a co dawać. Potrafił segregować i odrzucać. Z pamięci wychwytywał to, co było istotne i ważne. Opowiadał szczerze ale i bez ekshibicjonizmu. Wiadome było to tylko, co się z nim, a nie to, co się w nim działo. Szafował, świetny myślicy, znawca i miłośnik zwierząt — hojnie przygodą, ale tak, jakby nie brał w niej żadnego udziału.

I nie wspominał nigdy, choć taki wrażliwy na przygodę, o kobiecie.

A jednak, kiedy umierał...

Było tak: gdy go rozwikłano z ogromnych niedźwiedzi, w które był okutany, zdjęto futro, ułożono w łóżku, okazało się, że nie można mu już będzie pomóc, że to na przepadłe.

Krótki oddech, sine wargi, sieć żył nabrzmiała na skroniach, jęk przy każdym głębszym oddechu. Mróz był ostry, drogi zasypane śniegiem. A chciał sam, by go właśnie tu przywieźli..

Przytomny do ostatka powtarzał ciągle: „nie umrę, nie umrę, dopóki jej nie zobaczę. Z nią muszę się pożegnać“. A do niej, bladej, powiedział gdy pochyliła się nad nim: „znałem tylu ludzi, ale tylko ty jedna byłaś naprawdę dobra“.

Praczką. To ona przychodziła robić wielkie pranie. Już w wilgę tego dnia można było napewno jej się spodziewać. Zjawiała się zaraz popołudniu, a duży czarny, klapouchy Cygan i mały, cienkonogi, podpalany Morretti nie szczekaniem ją witały, tylko radosnem łaskaniem.

W asyście rozradowanych i czujnych na każde jej skinienie psów, rozkładała brudną bieliznę, a policzoną i zgarniętą do zgrzebnej płachty, wrzucała pod stół do kuchennego przedsionka. A później kładła na ramiona nosze i biegła do studni: nadźwigała wody pełną beczką. Potem prędko, pokolei sprawdziła klepki balji, czy która nie cieknie, obejrzała duży kocioł, ostukała dno, dopasowała pokrywę. Starem siatem, ostrożnie, żeby nie zakurzyć ściany, przesiewała do zolnika brzozy popiół, który tak bieli i dezynfekuje. Baniaki na wrzątek przejrzała pod światło. Próbując czy lekko obraca się korba wyżymaczki, oliwiła śruby, stwierdzała, czy wałki są niesklejone. W końcu szła do drewnutni, żeby wyszukać smolnych wiórów na podpałkę. Wilgotne szczapy odrzucała pod ścianę, suche gromadziła do przerąbania bliżej drzwi.

W lecie czy w zimie, o czwartej zrana zaczynała pranie.

Miało się wrażenie, że trudno będzie jej się nachylić, taka była wysoka, ciemne, starannie rozdzielone włosy gładko obejmowały głowę i równym rąbkiem

wysuwały się z pod zawiązanej chustki. Duży, czarny fartuch opinał ją całą. Podwinięte w ciasny, gruby zwitek rękawy, zaciskały się koło ramion.

Robota szła jej z mechaniczną niemal szybkością, to też ceniono ją w dużych domach, ale niewiele ich tam było. Najczęściej prała brudy małomiasteczkowej biedoty. Kiedy jej się współczuło, odpowiadała żartobliwie i po swojemu: „cóż robić: Mus o trzy lata starszy od Niechcieja“. Broniła się przed krzywdą leniwie, ospale, raczej dla zwyczaju się przed nią opędzała. Tłumaczyła powoli, łagodnie, że to wyzysk, że ledwo na nogach się trzyma, że drugi raz nie przyjdzie, że bielizny nie weźmie. Bo jednak najchętniej prała u siebie, w niewiarogodnie małym domku, przyczepionym jak jaskółcze gniazdo do stromej zbocza.

Pochylona nad balją spierała najpierw w letniej wodzie sztywne, chrzęszczące, jakby skrochmalone plamy. Nie brzydziła się tego: „czekaj, czekaj, jak śnieg musisz być biała“ — mówiła do stosów bielizny. Sprawnie, błyskawicznym ruchem zwijala równocześnie natarte kawalki, układając je, żeby odmiękły, w zgrabne stosy do cebra, który stał tuż obok balji.

A później, już z kłębów pary, nasyconej bielidłem, wychylała się w rytmicznym ruchu jej twarz krótka, woskowo niemal żółta, z kośćmi wystającymi koło skroni. I oczy jakby na urągowisko przez pomyłkę umieszczone w tej nieprawidłowej twarzy: czarne, wielkie, lśniące jak klejnoty w ramie długich wygiętych rzęs i brwi jak z aksamitu, i uśmiech dobry. Nie potrafiła się rozgniewać nigdy, nawet na tego wysokiego człowieka o szerokich ramionach, jej męża, który „padł na jej ręce“. Powrócił z wojska ze steranym zdrowiem i teraz plół na żoninę gospodarkę koszyk z łozy, nie mogąc go nigdy skończyć.

W nocy, leżąc na twardym sienniku, który nie zawsze miała czas i siłę „zruszyć“, starała się znaleźć do-

godniejsze miejsce dla obolałych łędźwi. Powoli, skurczona spoczątku, rozprostowywała kręgi o każdym pamiętając jakby zosobna. Każdy inaczej drażył i każdy inaczej łupał. Rozcierała mięśnie naciągnięte od stania — kłuło w nich głęboko, aż do kości. Przykładała ręce do nóg obrzękłych, oblepionych żyłakami.

Po jej śmierci mąż jej zebrał w okolicznych wsiach.

Feliks.

Z tych cudzych wspomnień zamierzchłych pozostał w pamięci: najpierw ta podróż całej rodziny dyliżansem. Później powrót. Na drugi dzień jego matka wychesywała mu wiedząc, co w nich znajdzie, gęste i złote loki. Cukierki były zapłatą za cierpliwość dziecka.

„Tylko tyle?“ zapytał z płaczem: „To niech mi mamusia odda moje weszki“.

Mając pięć lat zaczął być bardzo nabożny. Nad łóżeczkiem chlebem sobie przylepiał święte obrazki i znosił tutaj bogactwo swoich przeżyć, gwałtowność swoich uczuć i egzotyzm między podwórzowymi kamratami, zbieranych wyrazów o niezupełnie, dla niego zrozumiałej treści.

Było to wyjątkowo piękne dziecko. Kiedy w aksamitnem ubranku, w kołnierzu z ciężkiej koronki, w berecie, odrzuconym z czoła szedł ulicami miasta, pokazywano go sobie: „Patrzcie, idzie ten piękny malec!“

Bo istotnie: długie, faliste loki, nos, na który trudno się było napatrzeć, oczy topazy dymne, brązowe i złote, usta dojrzałe wiśnie, cera blada i delikatna, żywe, a tak opanowane ruchy. I wdzięk, którym wszystkich zdobywał. Znał wartość swojej urody, doskonale zdawał sobie z niej sprawę. Nie zepsuł jej nigdy arogancją, sztuczością — był bez manjery. Prosty, w miarę grzeczny, uprzejmy bez przymileń i zalotności. Serdeczny bez udania.

Miał wszelkie dane, żeby najpełniej kiedyś i mądrze urzeczywistnić swoje życie.

Wszystko łatwo mu przychodziło. Był pierwszym uczniem w gimnazjum, gdzie zwracał uwagę wybitną zdolnością do matematyki. Doskonały, od wczesnej młodości, szachista, świetny tancerz, urzekający mówca — bez trudu zniewalał ludzi, odniechcenia zdobywał przyjaźń, którą wielce sobie cenił. Pierwszorzędną przyszłość mu wróżono. Nikt nie spostrzegł, nawet on sam, kiedy się „to“ zaczęło. Jakże więc to się mogło stać? i nie kobieta weszła mu w drogę. Z temperamentem, ale poprawny, rycerski, raczej chłodny, zrównoważony uczuciowo — mógł mieć tę, której zapragnął.

Z początku hulanki w dobranem towarzystwie. Przelotny flirt z „uroczą divą“. Burda, z powodu stłuczonego kwiatami kinkieta na benefisie „gwiazdy“. Areszt po pijanemu. Niepokojące słuchy wśród znajomych. Cierpkie z tego powodu wyrzuty.

Śmierć ojczyma, która tak bardzo skomplikowała im życie. Coraz cięższe warunki w domu, brak wszystkiego, konieczność wyprzedania obrazów, kosztowności, wreszcie mebli. Wyjazd starszego brata, z którym tak się kochali. Burzliwe sceny z siostrą, tą śliczną, która umarła tuż po nim. Płacz cichy, skrywany matki, jej dobroć — najstraszliwszy, dręczący wyrzut. Świadomość, że tak dłużej niepodobna.

Pijaństwem otrząsał z siebie więzy, obowiązki, hamulce — kilka choćby kieliszków wódki, i później cała już butelka. Radość żywa, irracjonalna, mocna.

Po otrzeźwieniu — katzenjammery, a później kiedy to stało się już nałogiem — koszmary. Niedozniesienia bóle głowy.

Czasem jeszcze trafiały mu się świetne posady. Podawano mu rękę. W grę tu wchodziły względy rodzinne, współczucie zresztą, bo jeszcze olśniewał sobą. Był jeszcze ładny, zdolny i pracowity, przejęty

nawet poczuciem obowiązku. Czarował przytem ufną, pełną wdzięku grzecznością. Rozbrajał uśmiechem. Ale nie umiał już pozostać na miejscu, już czaiła się w nim niepokojąca chęć włóczęgi: ciągnęły go wsie obce, gdzie nikt nie wiedział, dzieci, obrzucające go kamieniami. Zalotne słówko dziewczyny w przelocie. Noclegi w polu, w lesie, pod mostami. Odmroził sobie nogi i długo leżał w obcym szpitalu.

Niepostrzeżenie ześlizgiwał się. Kilka wybitych zębów. Obraza urzędnika, pełniącego służbę, znieważenie portretu najdostojniejszej naonczas osoby. Zbity kolbami, cztery miesiące poniewierany był w więzieniu.

Wiedział, że płaczą, że piszą, że szukają, że łamali ręce. Wracał czasem. Niepodobny do siebie, ze szramą nad prawem okiem, z opuchniętą, czerwoną twarzą. Myli go, ubierali. Miotał nim pokorny wstyd wobec czystej bielizny, wobec domowych przedmiotów. Trud, żeby się podźwignąć, z góry już był skazany na przegraną. „Niskoschodząca“, lepka dobroć obcych, głowa znajomej, odwracająca się na ulicy, czyjś pochwycony w przelocie, drwiący uśmiezek — i uciekał, zrywał się, jak pies z łańcucha.

Przeszedł granicę, a później instynktem i nałogiem wiedziony — zawsze jednak w ramach istniejącego „prawa“ schodził coraz niżej, żył coraz podłej i coraz dalej, żeby się przypadkiem nie dowiedzieli, żeby do nich nic nie doszło. Jakaś miłość dziwna w czasie, włóczęgi, o której tyle mówił i wreszcie to ostatnie: zamieć w górach, w czasie której widziano go w schronisku. Zostawił w niem swoje papiery. Nie znalazł go.

Zofja Zahartowa.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

DWIE PACJENTKI

— Słucham panią — powiedział gruby chirurg. Siedział plecami do światła.

Pacjentka błagalnie spojrzała w okrągłą, lśniąca twarz, a potem znowu zatrzymała się na błękitnych, pustych oczach.

— Przepraszam — wyszeptała z rozpaczą — tak trudno zacząć..

Rękę w czarnej rękawiczce położyła na stół i szybko poruszała palcami.

Grubas odrobinę się zdziwił. Nie wątpił w dalszym ciągu, że szło o abort, lecz nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w praktyce spotkał równie nerwową pacjentkę. „Nie! wstydliwą!“ poprawił się. Bo rozumiał dobrze, że jej zdenerwowanie wynikało z ogromnego, niedającego się opanować wstydu. Nazwałby nawet ten wstyd nienormalnym, o ile za zjawisko nienormalne uważać można każdy wyjątek. Ale w takim razie rzeczą nienormalną byłoby na ziemi wszelkie dobro. Zjawiskiem nienormalnem byłaby naprzykład ludzka uczciwość. Prosty i prawy umysł lekarza nie uczuł dowcipu podobnego wniosku. Rzekł poważnie:

— Domyślam się, co mogło panią do nas sprowadzić. Może więc pani mówić zupełnie spokojnie. Jestem lekarzem. Ponadto — starym człowiekiem, który stoi już u końca...

„Swego życia!” chciał wysapać. Był nawet zaskoczony; skąd się wzięło — u licha! — tyle niestosownej tęsknoty? Karcąco pokiwał głową.

— ...swej praktyki! — dokończył spokojnie i dotknął czoła.

W chwili następnej z trudem, lecz żwawo uniósł z krzesła olbrzymie zwały swego ciała. — Ależ, na Boga, poco pani to robi? — wykrzyknął bezradny.

Połyaskujące łyzy ściekały po pliczkach pacjentki.

— Nie jest pani jednak szesnastoletniem dzieckiem! — zawołał z wyrzutem. — Przecież to takie ludzkie, takie normalne...

Usiadł spowrotem. Czy w istocie te wyjątkowe łyzy były normalne? Ile kobiet dziennie zgłasza się do lekarzy w tej samej sprawie? Postanowił przyjść jej z pomocą. „Kiedy zatrzymało się...” chciał zacząć i otworzył już usta, gdy wtem na biurku zadzwonił telefon.

— O, dzięki Bogu! to telefon do pana! — zawołała. Pociągnęła nosem i czarnym kciukiem wytarła łyzy pod oczami.

Gruby chirurg wziął słuchawkę. „Aha — powiedział — tak, tak. Pani właśnie siedzi u mnie. Nie, jeszcze nie badałem”.

Pacjentka chwyciła chirurga za łokieć. „Wszystko będzie dobrze” mówił grubas do słuchawki, „pani przejmuje się zupełnie niepotrzebnie!” Spojrzał bokiem i zauważył, że przy słowie „niepotrzebnie”, pacjentka odsunęła się. Palcami jednak w dalszym ciągu trzymała się jego chałata. „Oczywiście, panie doktorze” mówił w słuchawce odległy męski głos „ale kobiety zawsze tem się przejmują. Zdawałoby się — babska sprawa, lecz wkońcu zawsze skupi się na mężczyźnie!”

— Co? — zgorszył się chirurg. Czuł na łokciu ciepły, lękliwy ucisk. Więc odpowiedział krótko: — dobrze! — i zawiesił słuchawkę.

— Co on mówił, co on mówił? — zapytała, a chirurg uśmiechnął się:

— Och, och. Tak samo jest niespokojny, jak i pani.

Roześmiała się cichym, drżącym śmiechem: — pan sądzi, doktorze?...

Ale chwile mijały, w poczekalni prawdopodobnie czekały inne pacjentki.

— Więc teraz wiem wszystko — przerwał gruby doktor — musimy się śpieszyć. Im prędzej, tem lepiej, nieprawdaż?

Chuchnął na szkła okularów i jął czempędzej je przecierać, bo oto stało się coś całkiem niespodziewanego. Nagle bowiem postać pacjentki utonęła w szarawej mgle. O mało nie krzyknął: „co to jest?“ Odwrócił się twarzą do okna, za oknem była jasna, niebieska pora popołudniowa, chirurg pomimo to zobaczył godzinę znacznie późniejszą, godzinę wieczorną.

— O, jak już jest późno! — rzekł, niedoceniwszy tego zjawiska. Wstał i włożył okulary. Ale to nic nie pomogło. Zmrok się zgęszczał, zarysy przedmiotów były zamazane, zatarte, chirurg z trudem rozróżnił w kącie czarną kobiecą postać. Wtedy przekręcił kontakt, światło zapaliło się pod sufitem blade, prawie niewidoczne. Chirurg myśląc o czymś innym, rzekł w pośpiechu: — my tu gadu, gadu — a już wieczór zapada!

Pacjentka spojrzała na niego w zapłakanem zdziwieniu. O jakim wieczorze mówił ten dobrotliwy, niedorzeczny grubas? Nie mogła przecież wytłumaczyć sobie całego nieporozumienia zwiększonym uciskiem wodogłowia, skoro na medycynie nie znała się wogóle, a na neurologji w szczególności. Natomiast w sposób raczej naturalny wytłumaczyła sobie przedwczesne zapalenie światła koniecznością stworzenia jakichś spe-

cjalnych warunków dla badania. Badanie! Na samą myśl o niem znowu zaczęła płakać..

Tymczasem chirurg z wolna odzyskiwał wzrok. Ciemności rozjaśniały się, chirurg chciał podejść do okna, zobaczyć czy nie było przypadkiem chmury — ale przecież nie miał na to czasu.

— No, bądźmy spokojni — powiedział współczująco. Światła jednak nie zgasił. — Może się pani rozbiere.

Nie chciała zanic. Coprawda zdjęła płaszcz i została w białej bluzce i spódnicy, ale potem skrzyżowała czarne ręce na piersi i zastygła w skurczonej pozie. „Hasz ypsilon“ pomyślał chirurg, co oznaczało w żargonie lekarskim: histerja. Był już gotów udać gniew, żeby ostrym krzyknięciem przeciąć zdenerwowanie kobiety, ale zaraz potem zrozumiał, że nie było to takie proste. W tej histerji było coś więcej. Zapytał:

— Co pani dolega?

Uważne, życzliwe słuchanie kosztowało go wielkiego nakładu woli, gdyż ból głowy wzmagał się z każdą prawie minutą. Mimo to powtarzał serdecznie: — tak, tak. Rozumiem.

— Wstydzę się strasznie! nie mam poprostu sił!... Nie wiem, jak mam to wytrzymać! — wykrzykiwała nad samem uchem.

Zapytał: — czy jest pani mężatką?

Owszem. Była od sześciu lat zamężna, ale obecnie żyje w separacji. Teraz poraz pierwszy... poraz pierwszy jej się to zdarzyło. Musiała ukrywać się przed wszystkimi, niczem człowiek... o najgorszej opinji... „No, no“ powiedział chirurg uspokajająco.

Kocha człowieka żonatego. Zupełnie się na *tem* nie zna. Nigdy nie miała dzieci, ani tej... to znaczy... nigdy nawet nie była badana przez ginekologa. — Mój Boże! — zaszlochała.

Gruby chirurg przerwał: — nie jest pani przecie

dzieckiem. — Łagodnie wziął ją za ramię i popchnął do sąsiedniego pokoju. W tym pokoju stało koło okna krzesło ginekologiczne, pacjentka cofnęła się, gruby chirurg popchnął ją znowu. — A więc, bardzo panią proszę — rzekł zachęcająco, bardzo miękko.

Staął do niej plecami, żeby jej nie krępować, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że w dalszym ciągu tkwi nieruchomo w środku pokoju, wpatrzona ze wstrętem w pokraczne białe krzesło. Była zupełnie czerwona. Aż po uszy. Czerwień przeświecała poprzez włosy na skroniach i jaskrawymi plamami wysąpiała na szyi i ramionach.

Za oknem był piękny jesienny czas podwieczorkowy, chorym roznoszono kawę i mleko, na podwórku rozległa się trąbka karetki pogotowia.

— Daruje mi pani — rzekł chirurg, uśmiechając się — musimy jednak się pośpieszyć, bo przecież czekają inne chore.

Nie ruszała się. Musiał zaprowadzić ją za rękę i prawie siłą usadzić.

— Ano, co robić — rzekł po kilku chwilach, myjąc ręce — trzeba nato jakoś zaradzić.

— Więc to jednak to? — zapytała bez tchu.

Kiwnął głową, lecz natychmiast pożałował tego potwierdzającego ruchu. O mało bowiem nie upadł. Ból posuwał się od karku w górę i rozchodził się po całej czaszce, wałąc bez przerwy w lewą skroń.

Wtedy znowu przez ułamek sekundy oczy chirurga spotkały się z oczami kobiety. Ale teraz pacjentka zobaczyła w pustych oczach chirurga jakiś czarny, niepokojący połysk. „Czego on się boi?” pomyślała, „czyżby zdrowiu memu coś groziło?”

Doskonale rozumiała, że tkliwe, ciepłe współczucie, które zdawało się emanować z postaci chirurga, było obecnie zwykłym przyzwyczajeniem. W rzeczywistości bowiem, między jej a jego oczami istniała olbrzy-

nia, niczem nie wypełniona pustka. Dlatego — chociaż czuła chęć szczerego wywnętrzenia się, a do chirurga rosnącą sympatię — powstrzymała się i nie wyrzekła ani słowa. Zresztą, nadewszystko przejęta była swoim wstydem. To, co przeżywała, było dla niej bezsprzecznie tragedją. Coprawda nie mogła nie uczuć zwierzęcem współczuciem, że w tym samym pokoju odbywa się jednocześnie jeszcze jakaś tragedia, ukryta i straszniejsza — lecz egoistycznie nie chciała się z tem pogodzić. Byłoby jej przykro, żeby ktoś cierpiał więcej niż ona. Twarz paliła, kolana się ugiwały, zmagala ją najgorsza pogarda. Tak jest. Przedewszystkiem gardziła sobą!

Wychodząc zapytała cicho: — ile ja jestem panu winna, panie doktorze?

— Nic, nic! — zawołał w pośpiechu — nic mi pani nie jest winna! tylko koledze, kiedy w poniedziałek wróci i będzie się z panią umawiał, co do operacji.

— Tss... — szepnęła i przyłożyła palec do ust. Bała się i czuła wstręt do tego słowa. Pozatem stała już we drzwiach, a w poczekalni ktoś mógł przypadkowo ich podsłuchiwać. Spojrzała mu w oczy z lekkim wyrzutem, ale przestrzeń między ich oczami była w dalszym ciągu niczem nie wypełniona...

Tej pustki wzrokowej, otchłani międzyludzkiej nie mogło wypełnić nawet zabawne, beczelne, rozkrzyżczane życie, które odrazu potem wdarło się do gabinetu chirurga.

Mała szczupła blondynka, z przekornym lokiem sterczącym spod bereciku, przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi z trzaskiem. Trzask ten odbił się w czaszce chirurga bolesnem echem.

— Myślałam, że wpadłam — rzekła zdyszana. — Ta pani, co tyłkoco wyszła, bardzo jest podobna do żony dyrektora naszej budy.

Chirurg uniósł łysawe brwi — Jakiej budy? — zapytał.

— My tak nazywamy gimnazjum — odrzekła wesoło i rozglądała się wkoło. Na biurku chirurga stały rdzawe chryzantemy, pochyliła się i powąchała je — potem, wyprostowana, obejrzała chirurga bardzo dokładnie. Z oczu chirurga patrzyła na nią pustka. Lecz jej nie zauważyła. Powiedziała dzwicznym, dziewczęcym głosem:

— Panie doktorze, musi mi pan zrobić skrobanek!

Gruby chirurg zmarszczył brwi. Sapnął: — czy pani dobrze rozumie, co pani mówi? ile pani ma lat?

— Szesnaście, ale co z tego? — odpowiedziała. Zrzuciła pelerynkę i zaczęła rozpinać stanik. — Cóż nato poradzę, że wdepnęłam? to może każdemu się zdarzyć — szczebiotała. — Luscia miała już trzy wypadki. Pan nie wie, kto to Luscia? to moja koleżanka. — Obejrzała się raz jeszcze. — My tu z panem doktorem rozmawiamy, a ja nie widzę krzesła.

— Czy to nie zawczasie? — wysapał chirurg. — Przecież jest pani dzieckiem?

Urwał w półzdaniu, bo nie miał żadnego prawa kogokolwiek pouczać. Doznał po raz pierwszy wrażenia, że sprawy życia przesuwają się obok, nie dotycząc go wcale. Reagował na nie dosłownie siłą nawyku. Pomyślał: „trzeba będzie wziąć urlop na parę dni i pojechać, dać się zbadać w Krakowie!“ Głowa bolała nie do wytrzymania. — Dobrze — otrząsnął się ostatnim wysiłkiem serdeczności — zaraz panią zbadam.

— Właściwie, to nawet nie warto! — odpowiedziała gimnazystka. — Wiem napewno, bo wczoraj już miałam wymioty. — Podniosła głowę. — A dlaczego tu się pali światło, panie doktorze, kiedy jest jeszcze jasny dzień?

Chirurg spojrzął w sufit, zakłopotany — „rzeczywiście, to przez omyłkę!“ — przekreślił kontakt i wszedł

do sąsiedniego pokoju. Półnaga gimnazjastka biegła za nim.

— Ale musi mi pan zrobić to bardzo szybko, panie doktorze. Za trzy dni mamy już egzaminy... — Zgrabnie wskoczyła na krzesło ginekologiczne i huśtając w powietrzu nogami, zapytała przymilnie: — czy pana łebek boli, panie doktorze, że pan wciąż się za głowę trzyma?

— O, nie! — uśmiechnął się chirurg. Trzymał w rękach wziernik i łyżkę. Czerwony promień słońca wpadł przez górną szybę, chałat lekarski zapłonął. — Gdzież tam, gdzież tam!.. — powtarzał chirurg z sapiącą serdecznością. Ale w pewnej chwili musiał chwycić się parapetu okna, a brudne narzędzia z łoskotem wypadły mu z rąk. — Poślizgnąłem się... — rzekł pośpiesznie.

Gimnazjastka roześmiała się przelotnie. Niezgrabny tłuszcioch wzbudzał litość i śmiech. Podniosła się na fotelu i, majtając nogami, przyglądała mu się wesoło. Potem przypomniła sobie jednak o czymś ważnym i spoważniała.

— Panie doktorze — zapytała — a ile ten gips będzie kosztował?

Michał Choromański

AUGUST GAILITH

KADRI PARVI

Za nizinami, bagniskami i lasami Singa raptem zaczyna się falisty krajobraz, tworząc szereg gór, pagórków i wzgórz, zarośniętych staremi dębami, klonami i olchami, a w kotlinach lśnią jeziora, otoczone łąkami i wąskimi, kręcącemi się rzeczulkami. Na zboczach wzgórz leżą pola uprawne, których kolorowe wstęgi idą prostopadle od jezior i łąk ku wierzchołkom gór. Na brzegach jezior i strumyków stoją zagrody, tworzące wieś Terikeste. Dawniej były tu rozległe pola, gdy majątek Terikeste należał do Macieja Parvi. Potem jednak włości jego rozpadły się, osypały jak ziarno z kłosa i tylko stary dwór stoi jeszcze na wzgórzu, otoczony ogromnym sadem owocowym.

Maciej Parvi był człowiekiem skąpym, złośliwym i prostym w obyczajach. Jedyną troską jego było rozszerzanie granic swych posiadłości. Z roku na rok przechodziły w jego ręce wszystkie sąsiednie gospodarstwa, lasy, a nawet bagna i mokradła. Wybudował sobie duży dom, przstraszyły go jednak niebawem jego koszty, przerwał więc budowę, a dom stoi dotychczas, jak ptak skrzydlaty, w środku niski i zapadnięty. Parvi sam zamieszkiwał znajdujący się w lewym skrzydle duży pokój. Pośrodku pokoju stało szerokie, rozkołysane łóżko, w rogu zaś stół i mała szafa. Więcej nic nie było w pokojach, ale okna i drzwi były pozamykane na żelazne spusty i ciężkie zamki.

Córka Macieja, jedynaczka Kadri, pokłócona z ojcem, mieszkała gdzieś w mieście i Parvi nigdy o niej nie mówił. Aż kiedyś, jesiennej nocy Parvi umarł z ręki zbrodniarza w drodze do miasta, — koń przywiózł do domu okrwawionego trupa. Ludzie pochowali swe

go pana skromnie i po chłopsku i zaczęli powoli dopytywać się o Kadri.

Kadri wkrótce przybyła do majątku, przez dni kilka ubierała się w jedwabne pantofelki, rękawiczki i koronki, uważnie podmalowywała oczy, usta i policzki, a na spacerze osłaniała się od słońca małą parasolką. Była wielka, kanciasta, biodra miała szerokie, jak bramę przydrożną, nos gruby i nieforemny, ale oczy duże błyszczały niewinnością dziecięcą, a ich urok zamieniał wszystkie braki. Spacerowała tak przez dni kilka po parkach, ogrodach i lasach, prowadziła rozmowy ze służbą i ludźmi ze czworaków i nie było znać pychy w jej zachowaniu. W końcu tygodnia odwiedziła duszpasterza swej parafji, przyrzekła mu, że od-tąd będzie za przykładem ojca zajmowała się rolnictwem, prosiła pastora, by darzył ją ojcowską radą i ślubowała żyć skromnie i po chrześcijańsku.

Istotnie, po powrocie od pastora zrzuciła z siebie wszystkie ozdoby, ubrała się w suknie zwyczajne i nie-bawem usłyszano na polach jej silny, męski głos. Miao-sto nie pozostawiło na niej żadnych śladów, nie interesowały jej ani gazety ani książki, chodziła tylko regularnie co niedziela do kościoła, była pobożna, pracowita i mało wymagająca dla siebie. W soboty, po ukończeniu robót, kazała ludziom przychodzić do dworu, czytała im biblję, miewała przemówienia, nawoływała do skromności i pogodzenia się z losem i śpiewała głośno, nie zważając na to, czy jej kto wtórował, czy nie. Dopiero po śpiewach wolno było ludziom iść do łaźni, a potem do domu na spoczynek. Jak ojciec mieszkała Kadri w tym samym pokoju, nie uważając za potrzebne dokończyć budowy domu, sypiała w tem samem rozkołysanem łóżku i nie czuła żadnej tęsknoty za zbytkiem. Stara służąca przycho-dziła do niej raz w tygodniu, by posprzątać mieszkanie, gotowała zaś i piekła sama Kadri w kuchni czworackiej, u rządcy albo u dozorczy.

Ale Kadri Parvi miała jedną wielką słabość, słabość do mężczyzn. O ile nie lubiła kobiet, lekceważyła je i napędzała do ciężkiej roboty, o tyle każdy mężczyzna, spojrzawszy na nią, zdobywał ją natychmiast. Wszystko jedno, kto przychodził, czy parobek po rozkazy, czy dozorca żeby złożyć sprawozdanie, czy karbowy idący na naradę. Wszystkich przyjmowała jako dawno oczekiwanych kochanków, była dla nich łaskawa i uprzejma, zapraszała do pokoju, sadzała przy stole i ulegała pokusie. Przed każdym mężczyzną drżały jej nogi, chude, zapadnięte policzki oblewały się rumieńcem, a powieki opadały wstydliwie na oczy, w strachu i oczekiwaniu.

I gdy ów parobek albo rządca następnego ranka wychodził z jej domu i zatrzymał się na chwilę, by z nieśmiałością powiedzieć jaśnie panience dowidzenia i życzyć jej pomyślności, podchodziła do niego Kadri, kładła rękę na jego ramieniu i mówiła:

— Jak właściwie brzmi twe imię, czy nie Jerzy Aapsipää? Tak, tak, kochany Jerzy Aapsipää powiedz stangretowi, by założył konia, chcę z tobą pojechać do miasat, by ci zapisać małą zagrodę z moich ziem.

I gdy Jerzy Aapsipää ze zdziwieniem spoglądał na panienkę i niezbyt się kwapił z wypełnieniem rozkazu jej, mówiła Kadri Parvi:

— Widzisz, chłopcze, nie chciałabym, byś odszedł ode mnie z szyderstwem na ustach i przechwalał się dzisiejszą nocą przed ludźmi. Lepiej, gdy mnie wspomnisz z szacunkiem i będziesz błogosławił tę noc, która była dla dwojga ludzi szczęściem i zadowoleniem. Ukryj to więc w sercu twem, abym nie potrzebowała w przyszłości niejednego żałować i wstydliwie unikać twego wzroku. A teraz idź i powtórz mój rozkaz stangretowi.

I tak powoli rosły nowe budynki i słysząc było ścinanie drzew w lasach majątku. Budował się Jerzy

Aapsipää i Dyonizy Tikuta, Jan Sirgupala i Meos Martin, a panienska wciąż jeździła z kimś do miasta i spisywała kontrakty i darowizny.

Kadri Parvi rodziła dzieci, zarządzała majątkiem i była ze swego życia zupełnie zadowolona.

Gdy dziecko doszło do wieku, w którym mogło już przynieść rodzinie korzyść jako pastuszek, prowadziła je Kadri do studni, myła mu starannie twarz, rączki i nogi, ubierała porządnie i szła z niem na szczyt pagórka, skąd można było widzieć całą okolicę. Tu wręczała dziecku mały liścik, dziesięć rubli srebrem, tobolek z odrobiną bielizny i mówiła:

— Czy widzisz, chłopcze ten mały domek tam na zboczu? Dobrze się przyjrzyj, o tam, z białym dachem, czerwonym kominem, a obok na dębie gniazdem bocianem, — tam mieszka twój kochany tatuś. Pójdiesz teraz do niego i już nie wrócisz. Pozdrów go ode mnie, oddaj mu liścik i te dziesięć rubli srebrnych. Ale idąc, uważaj wciąż na ten domek, bo inaczej możesz trafić całkiem gdzieindziej.

Zdarzało się, że dziecko zaczynało płakać i opierać się, a wtedy gniew Kadri nie znał granic.

— Ty niewdzięczny smarkaczu! — wołała, wymachując różgą. — Ty paskudny chłopaku. Patrzcie, on nie chce iść do własnego ojca! Gdzież ja cię podzieję, sam widziałeś, mam takich jak ty bachorów pełen dom, a przecież to jeszcze nie ostatnie. Wykarmiłam cię i na nogi postawiłam, wychowałam cię na dużego chłopca, już teraz ojciec nie będzie miał z tobą kłopotu. Będiesz mu nawet pomocą i podporą, idź już, idź!

Tak szły dzieci Kadri Parvi z wysokiego wzgórza każde w swoją stronę, szły smutnie i z płaczem, nieraz oglądając się przez ramię za siebie, szły do nieznanego ojca i macochy, z małym tobolekiem w ręku, liścikiem i dziesięciu srebrnymi rublami. Kadri Parvi zaś

sama czekała na wzgórzu z różgą w ręku, póki bachor jej nie dotarł do przeznaczonych mu drzwi. Wtedy dopiero rzucała różgę i szła z uspokojonem sercem do domu.

Była niezwykle rozrzutna w oddawaniu siebie i swojego mienia.

Co roku rodziło się nowe dziecko, co roku zmniejszały się granice majątku. Coraz to nowe budynki powstawały na krańcach jej włości, okrążając wciąż całśniejším pierścieniem środek majątku. I Kadri Parvi nie biadała, nie narzekała, Kadri Parvi kładła rękę na ramieniu mężczyzny i mówiła:

— Jak ci właściwie na imię, czy nie Aadu Ambijärw? Tak, tak, kochany Aadu Ambijärv, idź i powiedz stangretowi, żeby założył konia, chcę z tobą pojechać do miasta!

A wieść o Kadri Parvi rozchodziła się szeroko po kraju i mówiono o niej dziwne rzeczy, aczkolwiek bez złośliwości, raczej ze smutkiem i współczującym kiwaniem głowy.

Razu pewnego przybył do Kadri Parvi sam pastor.

Przybył przed dom jej pełen gniewu wielkiego, był w stroju urzędowym, z ciężkim krzyżem srebrnym na szyi, twarz jego promieniowała świętobliwością i powagą, jak świeca na choince.

— Kadri Parvi, — rzekł ponuro, — przyszedłem, by z tobą porozmawiać o rzeczach bardzo poważnych!

Kadri zarumieniła się, spuściła wstydliwie oczy i rzekła cicho:

— Czy sprawy przedstawiają się naprawdę tak złe?

Zaprosiła pastora do pokoju, pobiegła, by włożyć czysty biały fartuch, umyła się, uczesała, po wielu, wielu latach upudrowała się trochę i dopiero wtedy zjawiała się przed pastorem. Była unizona,

wstydliva, usiadła skromnie przed duszpasterzem swej parafji i ręce złożyła na kolanach, bojąc się przemówić słowa.

— Kadri Parvi, — rzekł pastor uroczyście i głos jego drżał z gniewu i podniecenia, — organista mój ochrzcił już siedmioro twoich dzieci, wszystkie moje księgi są pełne twoich bękartów, a teraz chciałbym wiedzieć, czy jeszcze długo masz zamiar hańbić moją parafię? O twej niecnocie szczekają psy na drodze, krzyczą wrony na polach i twój niegodny żywot zatrzuwa całą okolicę. Przyszedł tu i ślubowałaś cnotę i życie chrześcijańskie, ale ślubowanie twoje było kłamliwe i wstyd mi za ciebie.

Kadri Parvi uroniła na kolana kilka łez, spojrzała swemi niewinnemi oczami na pastora i szepnęła:

— Naprawdę, cóż mogę poradzić, — wszystko jest w rękach boskich!

— Więc tak! zawołał pastor. Wszystko jest w rękach boskich, a ty nawet nie masz zamiaru ukorzyć się i okazać skruchy za popełnione grzechy. Spójrz na te białe chaty i budynki, czy one nie spoglądają na ciebie szyderczo?

Pastor chodził po pokoju i krzyczał, chodził i krzyczał, a niewinne spojrzenie Kadri wciąż na nim spoczywało, póki się nie zrobił łagodniejszy, spokojniejszy, usiadł po przyjacielsku obok Kadri, ujął jej ciepłe ręce w swoje i spytał:

— Więc obiecujesz poprawę, Kadri?

— Taak, z pewnością! odpowiedziała Kadri Parvi i głowa jej pokornie opadła na kolana pastora.

Gdy po pewnym czasie wyszli z domu, pastor pożegnał ją wstydliwie, kazał stangretowi samemu wracać do domu, zapowiadając, że pójdzie pieszo. Na szosie zaczął biec i dopiero teraz zauważył swój ciężki krzyż wiszący na szyi. Wzdrygnął się, jak ukąszony przez żmiję, zdarł z siebie krzyż i schował go głęboko do

kieszeni. — Mój Boże, mój Boże, — wzdychał. Usiadł na brzegu drogi i ukrył w rękach twarz.

Kadri Parvi zaś żyła jak dawniej. Po kilku latach z rozległych jej włości pozostał tylko dwór z sadem, młyn i karczma. Rozdała pola i lasy, bagna i łąki, zagajniki i pastwiska. Nowe osady graniczyły już z jej obejściem. Wtedy kazała swe rozkołysane łoże przenieść do karczmy. Ale nie pozostała tu długo. Razu pewnego wszedł do karczmy młodzian o kędzierzawych włosach i niebieskich oczach, a w uśmiechu pięknie błyszcząły jego białe zęby. Kadri Parvi z wrażenia upadła na krzesło i wielkimi oczami patrzyła się na nieznajomego.

— Wódki! zawołał przybysz.

I Kadri niosła i niosła wódki i zakąski, kawę i likiery, chodziła wciąż szybko i lekko, jak dziecko, między kuchnią a stołem, a jej duże oczy były przygwożdżone do postaci chłopca. Usługiwała mu dzień i drugi, usługiwała przez trzeci, a potem kazała zanieść swe łóżko do młyna, położyła rękę na ramieniu chłopca i rzekła:

— Jak się właściwie nazywasz?

— Marcin Vaigla, odrzekł nieznajomy.

— Więc Marcin Vaigla? — zdziwiła się Kadri. Nie słyszałam dotychczas takiego imienia. — Przyszedłeś zapewne zdaleka?

— Przyszedłem, słysząc wiele o tobie.

— Taak? Chyba niedobre plotki o mnie krążą?

— Przecie, że niedobre, odpowiedział chłopiec szczerze. Mówią o zwarjowanej babie, która wszystek swój majątek roztrwonila na chłopców. Ty zdaje mi się właśnie jesteś tą babą.

— Słusznie, to ja, — westchnęła Kadri, — co na to poradzić. Już nie mam nic do trwonienia, ale dla ciebie jeszcze może być karczma. Miejsce jest dobre, o ile będziesz prowadził porządne życie, możesz się nawet zbogacić.

— I tak darmo oddasz? — spytał się chłopiec.

— Tak właśnie oddam! — poważnie odpowiedziała Kadri.

— Ale za co?

— Otrzymali inni, otrzymasz i ty.

Chłopiec podrapał się za uchem, spojrział ponuro w ziemię, i rzekł:

— Ja nie chcę karczmy darmo, nie jestem żebrak. Będę płacił, ale nie odrazu, Co rok pewną sumę, a tu masz zadatek, jeżeli ci to dogadza.

Kadri Parvi wzięła pieniądze i poszła w kierunku młyna. Pieniądze zawiązała w rożek chustki i czuła, że niesie coś ciężkiego i poniżającego, coś tak ciężkiego, że się nogi uginają. Szła i odpoczywała, szła i odpoczywała, mimo, że nie było kilometra pomiędzy karczmą a młynem.

— Taki śmieszny chłopiec, dał mi pieniądze, — myślała, — I za co?

Czuła się jakby obrażona, coś bolało i dusiło ją w sercu. Ale uśmiechniętą twarz chłopca i jego dziwne niebieskie oczy wciąż miała w pamięci.

Po przybyciu do młyna rzuciła pieniądze na dno skrzyni i wzięła się do roboty.

Miała już blisko pięćdziesiątki, urodziła jedenaścioro synów i dwie córki, ale była silna, jak niedźwiedź. Przyjęła od chłopca wór z żytem, wwałała na plecy i zanosła do młyna, jak mężczyzna. Od rana do wieczora była zajęta robotą, młyn pracował bez ustanku, Kadri Parvi nie czuła ani zmęczenia ani starości. Przyroda była hojna, wydając ją na świat, była nawet rozrzutna, obdzielając ją taką siłą i zdrowiem.

Mając lat pięćdziesiąt, wśród ciężkiej pracy i zachodów, powiła Kadri Parvi dwunastego syna, małego Tomka, zdrowego i jędrnego bachora. Po raz pierwszy serce jej zabiło żywiej. Kadri spojrzała zakochanym wzrokiem na chłopca i patrzyła na niego długo, długo. Miał takie same niebieskie oczy, kędzierzawe

kasztanowate włosy, a uśmiech jego był taki łagodny i uroczy, jakgdyby nie leżało koło niej dziecko w białych pieluszkach, tylko sam Marcin Vaigla. Nie, tego chłopca nie odeśle nigdy od siebie, będzie on jej kochanym synem i będzie dbał o matkę do końca jej życia. — O, ty malutki Tomaszku! — szeptała Kadri Parvi, tuląc chłopca do swej piersi, o, ty malutki Tomaszku!

Podczas wojen i rewolucji przeszedł również młyn w obce ręce. Ale to jej nie martwiło, kazała tylko przenieść łóżko spowrotem do dawnego dworu, wzięła Tomka za rączkę i poszła w stronę swego domu rodzinnego. Pozostał jej jeszcze ten dom i duży sad, to postanowiła zachować przy sobie i zostawić w spadku Tomkowi. Stare drzewa dawały dużo owoców, gałęzie aż uginały się pod ich ciężarem. Było tu pełno krzaków agrestu, porzeczek i malin, wzdłuż płotów rosły wiśnie, grusze, zbiory owoców wystarczały na utrzymanie Kadri. Była nawet zadowolona, że sama podzieliła swe ziemie, gdy w innych majątkach podział odbywał się teraz wśród kłótni i sądów, a obcy ludzie zbiegali się dla uzyskania największej zdobyczy. Spadkobiercy Kadri Parvi byli to wszystko swoi ludzie, czuła się jakoby matką całej wsi, drzewem żywota jego...

Kilka razy do roku, przeważnie podczas większych świąt, zwoływała Kadri całą wieś. Ludzie zbierali się w dużym pokoju, zapraszano organistę, by wygłosił kazanie, Kadri Parvi sama siadała przy stole obok organisty na miejscu honorowem i przyglądała się tłumowi. Który to z pośród nich był jej synem, która jej córką, kto jej przelotnym mężem? Rozglądała się badawczo, rozpoznawała, dużemi oczami błędziła po twarzach.

Ten staruszek za innymi, to zdaje się będzie Jerzy Aapsipää?—myślała Kadri. Postarzał, skrzywił się jak drzewo, którego gałęzie i wierzchołek pokrył bia-

ły mech, z twarzy pozostały tylko ostre kości policzkowe i drżąca bródka. Żona jego Liis, siedząca obok, jest gruba i tłusta, głos ma ostry i skrzeczący gdy śpiewa. Trzech synów jego siedzi obok, który z nich jest jej synem? Poznawała, patrzyła, kiwała przecząco głową — spróbuj tu rozróżnić trzy ziarnka piasku, wszyscy są do siebie podobni. Czy to nie będzie ten starszy z brodą, czemu się tak ponuro na nią patrzy? A może przypomina sobie ten dzień na szczycie pagórka, gdy płacząc musiał iść do swego ojca, z tobołkiem w jednym ręku, z liścikiem i z dziesięciu srebrnemi rublami w drugim?

A tam, w rogu siedzi Meos Martin, zamożny gospodarz, który jeszcze ani razu nie przyprowadził na kazanie swej żony ani dzieci, może wstydzi się pokazać im Kadri? Ale sam przychodzi zawsze i lubi słuchać pisma świętego i śpiewać wraz z innymi. Jest tęgi i silny po dawnemu, jego policzki rumiane są, jak w młodości. Ale o swych dzieciach nie chce rozmawiać z Kadri.

Tam siedzi stary Dyonizy Tikuta z twarzą wiecznie skrzywioną, pomarszczoną, zbiedzoną. Nie może wybaczyć ani Kadri, ani sobie, że otrzymał tylko małe gospodarstwo na piaskach, gdy inni dostali część pól folwarcznych. Jego pola są na piaszczystych pagórkach, deszcze zmywają do jeziora cały siew, dlatego zagony leżą nagie, pokryte kurzem. Że też do licha zachciało mu się prosić właśnie o te ziemie. Wy-myśla sobie codnia, zrządzi z zawiści, przeklina swój los i nienawidzi syna Kadri, Jana. Gdy Kadri Parvi była jeszcze zamożna, wkładał na syna swego łachmany i słał do Kadri po prośbie. Jan wracał zawsze z pełnemi torbami, była przynajmniej jakaś korzyść z tej szelmy. Ale obecnie chłopiec już wyrósł na mężczyznę, a Kadri zbiedniała i korzyści z niej żadnej. I Dyonizy Tikuta owszem, przychodzi na kazania, ale nie śpiewa. Nie będzie sobie przecież zrywał głosu, za

ten biedny skrawek ziemi. Niech śpiewają ci, co otrzymali więcej, których ziemie są rozległe i żyzne, niech sobie głośno chwala Pana i Kadri. Dyonizy Tikuta nie widzi najmniejszego powodu aby nadwężyć sobie gardło. Siedzi, jak inni spokojnie i bogobojnie, ale usta jego milczą, jakby trzymał w nich wodę. O psiakrew, o głupoto ludzka, właśnie o te piaszczyste pagórki prosił! Mógł był otrzymać cały majątek, a on, durny, przestępował z nogi na nogę, wówczas tam przy drzwiach dworu, przed wyjazdem do miasta, i prosił o piaszczyste pagórki!

Kadri wciąż przegląda przybyłych.

Jacy oni są obcy, jak się zmienili w ciągu lat.

Spogląda to na jednego, to na drugiego, — ale tu niema nawet wszystkich jej dzieci. Jeden podobno zginął na wojnie, jeden umarł podczas zarazy, dwóch wywędrowało, niewiadomo napewno dokąd, jeden, to lekarz w jakimś mieście, drugi monter w innem mieście. Iluż ich jeszcze pozostało? Stara się policzyć swych synów według imion, lecz i imion niektórych pozapominała. Był Jan, Jerzy, Maciej, Michał, Johannes... Czy był Johannes? Nie, tego nie było, jakoś nie pamięta nawet takiego imienia. Johannes, to był ogrodnik, który otrzymał z Krwawego Brzegu kawałek lasu i pola. Nie, ogrodnik nazywał się Jacek Jarski, a Johannes, to był ktoś inny. Johannes, to był chłopiec stajenny czy młynarz? Kadri Parvi macha ręką, — wszystko jedno, ktoś tam jednak był Johannes, inaczej by to imię tak jej nie uwięzło w pamięci. Poco jej znać wszystkie imiona, ona ma swego Tomasza.

Po kazaniu i odśpiewaniu ostatniego psalmu Kadri wstaje ze swego miejsca i odchodzi do innego pokoju. Nie chce bowiem słuchać narzekań Tikuty i płaczu Jana Sirgupalu. Bo Sirgupalu umie tylko płakać za swym synem poległym na wojnie. Wciąż jedno wkółko, wciąż jedne i te same skargi, czy ona ma zdrowie

śluchać płaczu wszystkich i współczuć ze wszystkimi?

Do znudzenia jej się sprzykrzyły słowa Jana Sirgupalu, które brzmią zawsze jednakowo:

— A gdy przyszedł chłopczyna z liścikiem i temi srebrnymi rublami, aż przysiadłem ze strachu. Więc ten mały bachor o czerwonej buzi i ostrym nosku był mój, a ja głupiec, nie miałem o tem nawet pojęcia. Spoczątku jakbym nie wierzył, wciąż mu się przypatrywałem, a potem sobie w lustrze. Ale był szelma, do mnie podobny jak wykapany, nie można mu było nic dodać, ani ująć. Cóż to było uciechy i radości! Rósł mój chłopak, mężniał, a ja nie odchodziłem kroku od niego. Był dobry i wesoły; jak się roześmiał, to i ja musiałem się śmiać. A jak wyrósł, wzięli go na wojnę... Poszedł chłopczysko na wojnę i nie wrócił, zimnego trupa przywieźli mi w trumnie!

Kadri Parvi słyszała to już ze sto razy. Taki wstrętny tetryk, dziad pogrzebowy, beksa! Duży chłop, a zgarbiony, kości pacierzowe sterczą jak haki do góry. Serce, jak z gliny, a z oczu kapie, jak z okapu.

Gdzie się podziała ich radość życia i młodość! I czemu ich twarze są tak ponure, stare i smutne?

Kadri Parvi sama nie czuje starości. Nawet w jej włosach jeszcze nie widać siwizny, gdy rozplata swe warkocze, pokrywają jej suto pierś i plecy. Przy bożej pomocy dożyła już sześćdziesiątego trzeciego roku życia, ale to jeszcze nic, to była tylko krótka chwila. Życie Kadri dopiero czeka na nią, życie i młodość.

Zasami, idąc przez wieś, słyszy Kadri za sobą niedbale wypowiedziane przekleństwo. Chłopak jakiś, przechodząc, rzuca, jakieś ordynarne słowo. Kadri Parvi goni go, chwytą za kołnierz i krzyczy:

— Ty smarkaczu, ty wrono skrzecząca! kto cię nauczył tych słów?

Chłopak czuje, że się dostał w ręce wścieklej niedźwiedzicy.

— Nikomu nie zawiniłam, — krzyczy Kadri w gniewie. — I mnie dotąd również nikt nie ubliżył. A ty, smarkaczu, śmiesz mi wymyślać i drwić ze mnie!

Wkońcu daje chłopakowi mocnego szturchańca i jeszcze woła za nim:

— Innym razem gorzej oberwiesz, gdy cię przyłapię! Patrzcie smarkacza, on śmie mnie, Kadri Parvi, ubliżać?

Długo się gniewa i mruczy.

— Taki niewychowany chłopak — myśli. Ale na-
płodziło się w naszej wsi wszelkiego tałałajstwa i ho-
łoty i niewiadomo nawet, kim oni są i skąd przyszli.
Dawniej Kadri znała tu wszystkich, obecnie zaś two-
rzyła się nowa generacja, zuchwała, czelna i bez wy-
chowania. Gdy przechodzą, boczą się tylko i niemasz
wśród nich takiego, ktoby przed starszą osobą zdjął
czapkę.

Wreszcie Kadri Parvi postanawia zapoznać się z no-
wymi ludźmi i nowymi obyczajami.

Skoro świt, postanawia wyruszyć, wkłada czyste
ubranie, białą chustkę na głowę, do ręki bierze jako
postrach dla psów i niegrzecznych chłopców, ojcow-
ską, ciężką okutą laskę i rozpoczyna się obchód za-
gród i kolonji. Idzie powoli, męskim krokiem, z gło-
wą dumnie podniesioną. Z powagą na twarzy. Niczem
sam Maciej Parvi, dziedzic, idący ściągać opłaty z
dzierżawców, ganić robotników, bezrolnych wyrzucać
z ich domków. Kadri Parvi ma lat około siedemdzie-
sięciu, ale jej ostre kości policzkowe jeszcze pokrywa
rumieniec, pod oczami nie ma najmniejszej zmarszczki,
tylko włosy są siwiuteńkie i gdy z głowy zrzuca chust-
kę, świecą się w słońcu, jak srebrny motek lnu.

Wchodzi do zagrody, rozgląda się po izbach uważ-
nie i badawczo, siada dumnie na stolku i stojąca
w izbie kobietę pyta, dotykając ją końcem laski:

— Kto ty jesteś?

— Gospodyni jestem, odpowiada zapytana, Liis Anderwaks.

— Skąd pochodzisz? kiedy się urodziłaś? kiedy wyszłaś za mąż? kiedyś tu przybyła? dużo masz dzieci? kim jest twój mąż i czy pracował dawniej w majątku? — rozpytuje się Kadri.

Gdy odpowiedzi wypadną zadawalniająco, wstaje i mówi:

— Ty, Liis Anderwaks, uważaj więcej na swoje dzieci, gdy tu szłam, tarzały się w błocie, brudne, jak djabełka. I o czystość w izbie musisz lepiej dbać — widzisz, miotła leży na środku, a łopata w łóżku. To nie jest ładnie i nie przystoi dobrej gospodyni.

Laskawie kiwa głową i idzie dalej.

Kadri nikt nie lubi, gdy tak obchodzi i zwiedza okolicę. Często zamykają przed nią drzwi. — Czego ta stara wiedźma tu łązi! Już dawno na nią czas, żeby się kładła do grobu, albo przynajmniej ostatnie lata życia siedziała cicho pod jakim drzewem w sadzie. A ona chodzi, — rozpytuje się o wszystko, jak jaka babka rodu czy opiekunka. Myśli pewnie, że te ziemie jeszcze do niej należą, a ludzie są jej niewolnikami. Nie, do licha, ta baba spóźniła się ze swemi odwiedzinami o sto lat.

Nawet Dyonizy Tikuta, drżący staruszek, wybiega coprawda na jej spotkanie, ale natychmiast zaczyna gderać:

— Czego ty, stara kobieto, chodzisz po wsi i niepokoisz ludzi? Oni cię nie lubią, przypominasz im dawne czasy. Widzisz, i ja zrobiłem to wielkie głupstwo, żem wziął od ciebie tę głodową ziemię. O, Jezusie, deszcze zmywają mi każde ziarenko, nie zostanie nawet tyle, żeby się wróbel porządnie najadł! Żeby był, osioł jeden, trochę zaczekał, gdy przyszła kolej na dzielenie pól ornych, myślisz, że byłbym nic nie dostał! Byłbym sobie oderżnął z tych pól, jak od ciep-

łego bochenka, porządną kromkę tłustej, czarnej ziemi. A co mogę zrobić z tym lotnym piaskiem. Gdybym był smykiem, pieklbym na słońcu baby z piasku i rzucał niemi w psy. Ach Kadri, Kadri, nie przyniosłaś mi szczęścia! I inni też niechętnie cię wspominają. Nie chodź lepiej, starucho po gospodarstwach i nie kuś ludzi do gniewu!

Kadri Parvi odsuwa od siebie staruszka końcem la-
ski.

— Kto ci powiedział, ośle jeden, że jestem stara? — pyta się niezadowolona. — Na ciebie, owszem, nad-
szedł czas, byś w grobie leżał, ciało twoje zarosło gę-
stym mchem, a rozumu już nie masz ani trochę. Ale
ja!

Rozstawia nogi, staje, patrzy zgóry na Dyonizego
Tikutę.

— Czy wiesz, — powiada, podkreślając każde sło-
wo, — wnuk twój byłby w sam raz dla mnie mężem!

Dyonizy Tikuta odskakuje nagle, jak porażony.
Przez chwilę spogląda na nią ze zdziwieniem i stra-
chem.

— No, no, powiada jakby się ocknął.

— Bo tak jest, — potwierdza Kadri, — byłby dla
mnie w sam raz mężem.

I Dyonizy Tikuta nie ma żadnej na to odpowiedzi,
czuje się raptem poniżony, pobity. Głupkowato spo-
gląda na Kadri, jakgdyby spotkał samego djabła na
rozstaju.

Dopiero wtedy, gdy Kadri Parvi już poszła i znik-
nęła za pagórkami odzyskuje potrochu równowagę,
podnosi do góry pięść, potrząsa nią i krzyczy, chociaż
wie, że głos jego już jej nie może dosięgnąć.

— Ale mój wnuk to się z tobą nie ożeni! — woła
złośliwie.

Biegnie do domu, staje znów, znowu potrząsa pię-
ścią, wołając:

— Za nic się nie ożeni! Taka wiedźma, pijąca krew chrześcijańską! Za nic mój wnuk się z tobą, szelmą, nie ożeni, choćbyś miała dziesięć majątków i folwarków. Za nic z tobą wiedźmą się nie zwiąże! Ze mnie zrobiłaś żebraka, życie mego syna djabli wzięli, ale od wnuka ci wara! Patrzcie mi stuletnią czarownicę, zgnili pień chce jeszcze kwitnąć!

Przychodzi do domu i tu dopiero ogarnia go prawdziwy gniew. Dopiero tu czuje, jak wszystkie wewnętrzności jego przewracają się przeciwko tej kobiecie. Oblewa go fala gorąca i stając pośród podwórza, miota staruszek za Kadri swe najsilniejsze przekleństwa.

— Taka, taka... jaśnie panienka! woła wreszcie.

Późno wieczorem wraca Kadri do domu. Tomasz zostawił dla niej na stole mleka i chleba. Kadri łamie chleb, je, pija ze dzbanka mlekiem i wdycha.

—Niema już dawnych ludzi, myśli. Pozostały tylko resztki, gdzieś jakiś staruszek, dziadek, umierający w kącie, babunia, zgarbiona i drżąca. Wszyscy już odeszli do Pana albo lada chwila tam odejdą. Jakgdyby wcale nie byli ludźmi, tak niedawno się śmieli, bawili, a dziś już są starzy, oczy kapią im łzami, jak pnie żywica.

Nawet Marcin Vaigla się pochylił!

Dziś widziała go zdaleka. Do niego Kadri nigdy nie idzie, nawet widząc go idącego naprzeciw zawsze zawraca. Nie wie dlaczego wstydzi się tego człowieka, dlaczego się go boi. Nie mówiła z nim ani słowa od czasu, gdy odeszła z karczmy.

August Gailith

Z estońskiego przełożyła Alicja Maciejewska

KSIAŻKI I TEATRY

Ewy Szelburg-Zarembiny „Ludzie z wosku“.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

Warszawa 1936. Stron 355.

I tutaj bierze nas w posiadanie ten sam urok, który pamiętamy z pierwszego tomu cyklu „Matka Judasza“. Ponura scena chrztu dziecka otwiera szereg kompozycji witrażowych o wzmagającym się natężeniu barw ciężkich, przepojonych zmysłowością i patosem. Zjawiska życia pochwycone są i utrwalone w samym ich węźle dramatycznym, w łączności ścisłej z niepokojącą, ciemną całością bytu. Wszystko w tej książce zaiste „oddycha płomieniem“. Akcja powieści jest bezustannem łamaniem się z demonem każdego dnia i każdej godziny, zmaganiem się ze zgrozą codziennego istnienia. W tem zmaganiu się człowiek. Zarembiny nie skarży się i nie złorzeczy. Atmosfera szczególnej szorstkiej, pochmurnej wyniosłości cechuje ten ponad wszelką miarę dziwny świat artystycznego widzenia. Wzgardliwa niezgoda na życie, zdolność do cierpienia i gorzka miłość są tu ową najwyższą instancją, w której rozważa się sprawę barlogów i śmietników, kalectwa i nędzy i całego przekleństwa losu.

Drapieżne wejrzenia w ten mrok dobywają zeń sceny o takim napięciu dramatycznym, jak owa scena chrztu, jak narodziny dziecka bez oczu i uszu, jak śmierć kobiety, która całe swe życie wydała z siebie w porodach, jak daremna modlitwa u stóp klasztorne go muru o przywrócenie zdrowia ukochanemu. W tem balladowem ujęciu partje książki, poświęcone

zagadnieniom socjalnym i politycznym, wypadły mniej niezawodnie, I tu jednak znajdujemy przejmujące dziwną koszmarną ekspresją sceny walk ulicznych roku 1905 i senny, bezimienny tragizm, ich ówczesnej ofiary — „ciemnego raba rewolucji, chama“.

Prostota stylu Zarembiny, wolna od konwenansu wzorów skandynawskich, organizuje się w sposób indywidualny i osiąga siłę sugestji niezwykłą. W jej ramach świat uczucia i wiary, a nawet świat myśli wyrasta bezpośrednio z procesów ściśle cielesnych, jest związany z ciemną naturą podświadomości. Ludzie ścigani „strachem przed sobą“, „przed wszystkim, co nieuchwytnie dymi we krwi“, w poszukiwaniu ratunku zdają się nie czynić różnicy między sugestjami zabobonu i religijną wiarą. W gorącej atmosferze książki treść emocjonalna tych wierzeń wywodzi się za wspólnego im obu źródła, z dziedziny instynktu i namiętności.

Herminji Naglerowej „Krauzowie i inni“, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, 1936. Stron 320.

Książka ta jest niewątpliwie świadectwem dużej ambicji pisarskiej i świadomego swych środków artystycznych wysiłku. Przy starannem wyrównaniu formalnem ten tom pierwszy zapowiedzianego *roman fleuve* nie zawiera jednak wystarczającego usprawiedliwienia dla roboty tak koronkowej. Autorka obdarza swych bohaterów łagodną sympatją, ale nie umie wydobyc z nich głębszego nurtu przeżyć, mimo iż węzeł akcji zadzierzgnięty został z rzeczową kompetencją, a sposobności do konfliktów nie braknie. Obraz epoki, starannie wykończony, nie przynosi żadnego odrębnego jej widzenia, jest zupełnie konwencjonalny. Autorka przyjmuje ustalone oceny historyczne bez próby poddania ich rewizji. Nietylko więc lekkomyślna szlachta brała udział w powstaniu 63 roku, ale i nie-

pozbawiony cech ludzkich stan mieszczański! To wszystko, co na razie wynika z przebiegu akcji. W spokojnej, zrównoważonej atmosferze tej dobrze napisanej książki rzeczy odbywają się tak, jakby dzisiejsza epoka miała do tamtejszych zagadnień w niczym niezmieniony stosunek. Nawet jakby Kruczkowski nie napisał swego „Kordjana i Chama“.

Debory Vogel „Akacje kwitną“. Rój. 1936. Stron 170.

Jestto postawa literacka tak szczególna, że aż wydaje się niebardzo wiarogodna. Powstają podejrzenia: może Cocteau? a może Schulz? (z powodu występujących i tu „manekinów“.) Po zastanowieniu jednak, trzeba tej książce przyznać całkowitą samoistość. Mimo zastosowania przez autorkę do rzeczywistości wszystkich odczynników chemii intelektualnej, rzeczywistość zieje prosto zmysłowością, jest gęsta i plastyczna, jest żywa. Przestrzeń wypełnia po same brzegi ruchoma, świecąca, kolorowa materja. Tematem opowiadania są pojęcia z fizyki i metafizyki, a ich melodją liryczną, jakgdyby filozoficzna wersja piosenki o sercu złamanem.

Cyprjana Norwida „Pierścień wielkiej damy“, Biała tragedia w 3 aktach. Instytut Reduty.

Wieczór, spędzony w tym teatrze, był na ten raz zupełnie nieporównanem doznaniem artystycznym. Wiadoma intymność „wspólnego pokoju“ aktorów i widzów, naiwny realizm inscenizacji, w której wszystko jest „prawdziwe“, a nie obliczone na prawa perspektywy teatralnej, daje w wyniku właśnie nastrój dziwności prymitywu szekspirowskiego, wywołuje silniejsze wibrowanie wyobraźni, niż wszelkie iluzje sceny obrotowej. W tem tle język Norwida unosi się, jak najczystszy ekstrakt polszczyzny. Zdanie każde zawiera treść, poddaną przez zwięzłość tak wysokiemu

ciśnieniu, że nabiera prężności patetycznej — nawet gdy myśl jest żartem albo uczucie konwenansem. Aktorzy mówią wargami, drżącymi od hamowania „uczuć ziemskich“, omdlałymi od ich trucizny. Wrażenie wydobyte techniką tak bezprzykładnej powściągliwości, tak eleganckiej rozpacz — jest z kategorii najrzadszych i prawdziwie upajających. Oto styl! oto konwenans! — W tym eleganckim kształcie zmartwychwstaje nie tylko dramat miłosny biografii Norwida. Tekst dIALOGÓW najeżony jest też kolcami polemiki z tem, co w literaturze i filozofii ówczesnej tłumilo i nie dopuszczało do głosu jego własnego wyznania wiary. Falowanie tych świetnych połysków myśli, tych westchnień namiętności i gorzkich inwektyw — uruchamia w nas system odczuć estetycznych, nie poruszanych przez całe teatralne sezony.

Reżyserja Limanowskeigo i Osterwy osiągnęła to, że aktorzy mówili, *myśląc* swoje słowa, odnajdując je jakby w sobie samych dla oddania najcieńszych odmian uczucia. Grająca po Brydzińskiej Marję Barbara Zielińska wydawała się ze swą dzieciną wyniosłością być dosłownie panią Kalergis, podobniejszą do niej, niż portrety.

*Jacques Devala „Rodzina Massoubre“,
sztuka w 3 aktach. Teatr Polski.*

Sztuka jest romansem biograficznym, nawet nieudramatyzowanym. Powieść płynie przez scenę szeroką falą, jak rzeka. I tu, jak w „Urodzinach“ Bus Feketego jedynym elementem konstrukcji jest powtarzający się poprzez generacje jeden moment identyczny. U Devala jest nim recytacja modlitwy za nowonarodzonych i umierających. Co więcej — i tu kobiety umierają na niewierność mężów, jak na chorobę. Wyższość Devala polega na istotnym braku złudzeń wobec tego świata, który obrał sobie za temat. Ton sztu-

ki jest smutny i dosłownie beznadziejny. Poprzez nie-liczne silniejsze akcenty dramatyczne, rozczerzenia rodzinne i wybuchy namiętności małość człowieka prze-wleczona jest bez żadnego uszkodzenia. Skrucha o-ostatniej godziny nie oznacza przemiany wewnętrznej, jest raczej ryzykowną wkładką filmową w realistyczny tok akcji. Reżyserja Schillera dobyteła ze sztuki to, co jest w niej istotnie mocne — okrucieństwo własnej i cudzej młodości, nędzę charakterów i bezradną żalność starości. To wszystko starczyć musi za temat, za problem, za akcję i za treść. Ale to nie jest mało.

Adama Grzymały Siedleckiego
„Spadkobierca”. Teatr Narodowy.

Wznowienie tej komedji z przed lat nie zmieniło jej istoty. Gładką robotę sceniczną, łatwe żarty, momenty wzruszeń — publiczność i dziś kwituje swą liczną obecnością i chętnym śmiechem. I gdyby autor poprze-stał był na świetnem malowidle wegetacji kilkorga lu-dzi bylejakich, możnaby to przyjąć jako satyrę na typ umysłowości i system pojęć moralnych tego świata. Niestety „spadkobiercę” i jego duchowe perypetje po-traktował autor serjo. Zakłócił w ten sposób niefra-sobliwy śmiech widzowi. Szczęśliwe zakończenie ro-mansu dwojga starszych państwa w świetnych osobach Cwiklińskiej i Węgrzyna nie mogło rozproszyć żenu-jących wątpliwości co do sensu moralnego tej ko-medji.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pan B. S. Drohobycz. Otrzymaliśmy. Serdecznie dziękujemy za łaskawe przyrzeczenie. Zwłaszcza interesują nas uwagi pańskie o twórczości.

„Siostra” i pani W - a. Listy przekazaliśmy pani Z. Z. Dziękujemy.

Pan S. M. Drukować będziemy w następnym numerze. Prosimy o nadesłanie reszty materiału przed 18 maja.

Pan W. L. Częstochowa. Tak. Dziękujemy. Przed 18 maja.

Pani J. A. Właśnie tak. Różniemy się i dobieramy nie na mocy haseł formalnych, dotyczących pewnych sposobów i chwytów literackich, które powinny być indywidualne, i których wartością jest właśnie ich odrębność. Idzie nam przede wszystkim o wspólność postawy wobec zagadnienia człowieka, o ten typ twórczości, który go niejako wygranicza z zamętu dzisiejszych haseł i nakazów zbiorowych.

Pan M. N. Zaleszczyki — Odpowiedzieć możemy dopiero po otrzymaniu materiału.

Pan B. R. Konczyce. Owszem, czekamy na rękopis.

Pan L. U. Radom. Adres Redakcji.

Pan O... W rękopisie konieczne są zmiany. — Może zechce Pan odwiedzić nas w Redakcji.

Pan Z. T. Wolelibyśmy więcej o osobistym stosunku Pana do tego zagadnienia. Rozważania teoretyczne wypadły słabiej.

Pan S. K. Dobrze — Dziękujemy. Poezje zatrzymujemy do jednego z następnych numerów, gdyż pragniemy dać ich od razu większy wybór.

Pani H. W. Odpowiemy listownie po zbadaniu tej sprawy — Naturalnie.

Pan S. P. Pisze Pan, że załączony tekst, „odpowiada idei Studia”. Niestety nie.

Pp. W. J., E. P. i B. S. Jesteśmy dalecy od wyznawania zasad prymatu estetyki i wszelkiego „larpurlartyzmu”. Przeciwnie. Idzie nam o człowieka, ale o poznanie go w oderwaniu od systemu wierzeń i przeświadczeń, który sam wybudował ponad sobą i pod którego ciężarem ginie.

W POPRZEDNIM NUMERZE (KWIECIEŃ 1936).

OD REDAKCJI, A. A. — Teatr, J. B. — Książki,
K. — Suplikacje, KUCZYŃSKI BOGUSŁAW — Kra-
jobraz, POPPEE ALEKSANDER — Wędrówka, ZIE-
LIŃSKA S. — Siedem dni, ZAHRTOWA ZOFJA —
Panopticum, Z. Z. — Żałoba.

W NUMERZE DRUGIM:

CHOROMAŃSKI MICHAŁ
GAILITH AUGUST
GOMBROWICZ WITOLD
GOŹDZIEJEWSKA ZOFJA
NAŁKOWSKA ZOFJA
SCHULZ BRUNO
ZAHRTOWA ZOFJA

lepszy papier
kartonowa okładka
podwójna objętość
niepodwyższona cena egzemplarza
zniżona o więcej niż jedną trzecią prenumerata

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH STUDIO

zamieszczać będzie prócz prozy polskiej i tło-
maczonej antologje poezji w kolejnym układzie istnie-
jących grup poetyckich, zwiększy dział recenzji z ksią-
żek i teatrów, starając się uwzględniać także i produk-
cję zagraniczną, ponadto wprowadzi obszerny dział
informacyjny, kronikę i korespondencje.

Redaktor i wydawca: Bogusław Kuczyński.

Drukarnia Linolit.



<http://rcin.org.pl>

